ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 49 (184) NIEDZIELA, 9 GRUDNIA 1945 R. CENA 15 LIRÓW

ARP.

Sprawy polsko-brytyjskie

Po konferencji w Poczdamie zapanowało na ogół milczenie w Londynie na tematy polskie, przerywane tylko przykrymi dla nas wystąpieniami w obronie Niemców, „brutalnie" wyrzucanych — jak stwierdzono — z Polski. Zdawało się, że cała uwaga Londynu skupiona była na sprawach niepodległości państw bałkańskich i środkowo-europejskich. Dopiero w ostatnich czasach zaczęły się ukazywać objawy nowego zainteresowania Polską, które znalazły wyraz w głosach prasy brytyjskiej, w dyskusjach w Izbie Gmin i w Izbie Lordów, w replikach na beznadziejne wypowiedzi pana Wincentego Rzymowskiego w czasie jego pobytu w Londynie, w zarządzeniach władz brytyjskich w stosunku do Polaków w Niemczech, w oświadczeniach ambasadora brytyjskiego w Warszawie, no i wreszcie w przemówieniu ministra Bevina.

Ton tych różnych wypowiedzi, posunięć i zarządzeń był bardzo rozmaity, świadczący raczej, że linia polityki brytyjskiej w sprawie Polski, jak i całego kontynentu, jest wciąż jeszcze nieustalona.

Opinia polska z dużym zadowoleniem przyjęła wiadomość o zasadniczym zwrocie, który nastąpił na korzyść Polaków w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Również z zadowoleniem notowaliśmy wszystkie objawy sympatii i zainteresowania, okazywane nam w artykułach brytyjskich specjalnych wysłanników, którzy udali się do Warszawy i zdołali stamtąd powrócić. Także interpelacje i dyskusje w Izbie Gmin świadczyły przeważnie o zrozumieniu, okazywanym zwłaszcza Polakom na wychodźctwie przez wielu posłów i członków rządu brytyjskiego.

Obok wszakże tego nurtu, świadczącego o trwałej sympatii, rozwijał się nurt inny, niezmiernie krytyczny w stosunku do Polski. Krytyka ta, choć zwracała się pod adresem polityki uznanych przez rząd brytyjski władz warszawskich, obejmowała niesłusznie wszystkich Polaków.

W prasie londyńskiej rozwinęła się więc cała kampania na temat masowego wysiedlania Niemców z Polski oraz z obszarów, oddanych pod „tymczasowy zarząd polski". Niezmiernie ostro i dość zgodnie krytykowano te niewątpliwie nieprzemyślane w wykonaniu wysiedlania i — jak się wyrażano — „niehumanitarny" sposób ich przeprowadzenia. Stwierdzano „złą wolę" władz warszawskich i niedotrzymywanie przez nie zobowiązań, przyjętych w Poczdamie.

Był to pierwszy i bardzo doniosły dla prasy brytyjskiej motyw krytyki pod adresem władz warszawskich. Doszło na tym tle do oficjalnych i wielokrotnych interwencji ambasadora brytyjskiego w Warszawie. Wystąpienia te stały się powodem naprężenia w stosunkach między Londynem a Warszawą, czemu dał wyraz londyński „The Observer" w dniu 11 listopada br. w głośnym artykule pt. „Brytyjskie zarzuty przeciwko Polakom — Kryzys zaufania".

Po tych pierwszych wystąpieniach w sprawie postępowania władz warszawskich w stosunku do Niemców, przyszły dalsze pretensje, co prawda mniej drastycznie wysuwane i nie tak jednomyślnie popierane przez prasę brytyjską, z zakresu stosunków wewnętrznych w Polsce i braku wolności w jej życiu politycznym.

Stwierdzaliśmy już na tym miejscu, że podejmowanie kampanii politycznej przeciwko władzom warszawskim na tle ich stosunku do Niemców nie było zbyt szczęśliwe i łatwo było zbijane w Polsce przez prasę, oddaną pod komendę ludzi, podporządkowanych polityce sowieckiej. Masowe przecież deportacje Niemców są następstwem wyraźnej polityki sowieckiej, zmierzającej do utrzymywania stałego stanu wrzenia między Polakami i Niemcami, w celu zapewnienia Moskwie roli rozjemcy między obu tymi narodami i dla dalszego osłabiania przede wszystkim Polaków na arenie międzynarodowej. Ponadto karkołomna polityka populacyjna ma przyczynić się do dezorganizacji Europy zachodniej przez wtłaczanie na jej tereny wynędzniałych i bezdomnych mas niemieckich. W Polsce wszakże uzasadniona jest ona koniecznością znalezienia miejsca dla Polaków, wyrzucanych z ziem, położonych na wschód od linii Ribbentrop—Mołotow, a także znanym zachowaniem się Niemców w czasie wojny.

Oczywiście trudno było oczekiwać od władz warszawskich, by przeciwstawiły się podszeptom oraz cynicznej intrydze Moskwy, wykorzystującej zrozumiałe antyniemieckie nastroje w Polsce. Z drugiej strony prasa brytyjska, ujmując się za Niemcami, wyrzuconymi z Polski — którą musieli i tak z czasem opuścić — zupełnie przeoczała fakt, że w znacznie gorszych warunkach wyrzucani są wciąż Polacy ze swych siedzib we wschodniej Polsce. Przecież niedawno sam p. Eden przewidywał, że jeszcze około czterech milionów Polaków będzie musiało opuścić ziemie oddane Rosji, należało więc oczekiwać, że dla tych nieszczęsnych ludzi trzeba będzie znaleźć miejsce na innych terenach.

Można krytykować zarządzenia nieodpowiedzialnych warszawskich władz, ale przecież przyczyną masowych deportacji w Europie wschodniej jest przede wszystkim „przekleństwo złego czynu", jakim były decyzje konferencji w Teheranie i w Jałcie w sprawie rozbioru Polski. Brak stabilizacji politycznej i prawnej w tej części kontynentu, wytworzyły w tej części kolejnych zjazdów uchwały wszystkich „wielkich trójek". Przede wszystkim zatem mocarstwa, na zjazdach tych reprezentowane, wzięły za ten stan i jego następstwa odpowiedzialność. Najmniejszą zaś tu winę ponoszą w każdym razie Polacy, którzy w ogóle za to, co się w Polsce dziś dzieje, odpowiedzialności brać nie mogą.

Wystąpienia zatem prasy brytyjskiej przeciwko „Polakom" w ogólności w związku z losami Niemców były nieprzekonywujące a co gorsza, zostały natychmiast umiejętnie wykorzystane przez prasę wychodzącą w Polsce pod znanym kierownictwem. Nie ulega wątpliwości, że w Polsce i wśród Polaków na obczyźnie, jak i w całej Europie prowadzona jest bardzo umiejętna i systematyczna kampania przeciwko W. Brytanii. Prasa, wychodząca pod komendą w Polsce, roi się przecież od przykrych insynuacji pod adresem Anglii. Np. niedawne strajki w Anglii i Ameryce ukazały się w takim „Dzienniku Ludowym", organie komunistycznego Stronnictwa Ludowego, pod wymownym nagłówkiem „Niewolnicy podnoszą głowę". Pismo nie odważyłoby się stwierdzić, że „niewolnicy" są właśnie... w Rosji.

Każde zaś posunięcie Londynu, które mogło by mieć posmak nieprzyjemny dla Polaków, a przyjemny dla Niemców, jest natychmiast podchwytywane w akcji propagandowej w Warszawie, celem wytworzenia odpowiednich nastrojów.

Warto przytoczyć kilka przykładów, pierwszych z brzegu, dla wykazania, że mamy tu do czynienia z działalnością celową, z której może nie wszyscy w Londynie zdają sobie sprawę, a jeżeli zdają sobie sprawę, to nie zawsze wyciągają wnioski odpowiednie.

W głównym więc oficjalnym dzienniku władz warszawskich „Rzeczpospolita" ukazał się w dniu 5 października artykuł pod ironicznym tytułem „Nie zrazić Niemców do demokracji". Artykuł omawiał oficjalne deklaracje rządu brytyjskiego, stwierdzające, że Odra i Nisa nie są ostatecznymi granicami Polski, gdyż te ustalone będą dopiero na konferencji pokojowej, oraz że rząd brytyjski nie zobowiązał się do zatwierdzenia tych granic w traktacie pokojowym i że w ogóle Polacy posunęli się, w mniemaniu Anglii, zbyt daleko na zachód. Pismo zaznaczało złośliwie m. in.:

„W sierpniu i wrześniu mowy Churchilla i Bevina oraz wzruszający ton opowiastek dla Niemców radia londyńskiego poruszyły umysły niemieckie i obudziły nadzieje na rewizję granicy Odra—Nisa w czasie konferencji pokojowej. Zatem Niemcy poczęli szerzyć propagandę, że nie należy ich zrażać do demokracji zbyt twardymi rozstrzygnięciami. Przyznam się szczerze, że ta zabawa w demokratyzację Niemiec przy zagranicznym akompaniamencie obrony granic Rzeszy przed umniejszeniem Niemiec na wschodzie i na zachodzie, może wzbudzać obawy tym więcej, że podziemnej propagandy antypolskiej wśród Niemców, nikt nie jest w stanie stłumić... Dyskusje angielskie oraz nieroztropna propaganda BBC powoduje, że pruski naród krzywdzicieli czuje się w prawie uznać siebie za krzywdzonego".

Takie były odpowiedzi w Warszawie po wystąpieniach pp. Churchilla i Bevina w sprawie zachodnich granic Polski. Podobnych odpowiedzi udzielono przy innych okazjach. Gdy więc min. Bevin wspomniał raz w Izbie Gmin, że z punktu widzenia prawnego Gdańsk nie został jeszcze włączony do Polski, bo to stać się może tylko na konferencji pokojowej, na posiedzeniu ciała, które nazywa się „miejską radą narodową miasta Gdańska", uchwalono szumną rezolucję protestującą i stwierdzającą m. in., że

„... Polska nie pozwoli żadnej sile zepchnąć się ze swych pozycji nad wybrzeżem morskim. Zadrażnięcie naszej dumy narodowej przez przedstawiciela Imperium Brytyjskiego, dla którego żołnierze polscy nie szczędzili krwi, stanie się impulsem do tym większego wysiłku... itd.".

Szkoda tylko, że autorzy tej rezolucji, stając tak namiętnie w obronie przynależności Gdańska do Polski, przynależności, która dziś nie ulega wątpliwości, a jedynie istotnie pod względem prawnym nie jest załatwiona, nie okazali tej samej czujności w stosunku do Imperium Rosyjskiego, które zagrabiło po prostu połowę Polski. Lecz na ten temat nie wolno uchwalać w Polsce żadnych rezolucji.

Prowadzona jest natomiast umiejętna akcja, mająca na celu skierowanie wszystkich słusznych żalów Polaków w sprawie krzywd terytorialnych im wyrządzanych w stronę Anglii. A więc stale używa się zwrotu, że granica polska na wschodzie została wyznaczona według „linii lorda Curzona", a nie linii Ribbentrop-Mołotow, chociaż to ostatnie określenie jest prawdziwsze, gdyż linia Curzona nie oddawała Lwowa Rosji. Obecnie zaś zaczyna się szerzyć domniemanie, iż zapewne nowy jakiś lord angielski przygotowuje nową linię graniczną, która okroi Polskę na zachodzie na korzyść Niemiec.

Oczywiście prasa, wychodząca w Polsce, nie tłumaczy swoim czytelnikom, że formalnie istotnie te „nowe" granice Polski z Jałty i Poczdamu nie zostały ustalone w żadnym traktacie i pod względem prawnym nie są obowiązujące. Dotyczy to jednak, nie tylko granic zachodnich Polski, ale również „granic" wschodnich, których wykreślenie według linii Ribbentrop—Mołotow, na podstawie uchwał, powziętych bez pytania o zdanie legalnego rządu polskiego, należy uważać za nieważne i niebyłe. Granice Polski może ustalić istotnie tylko konferencja pokojowa i muszą być one uznane w traktatach, zawartych zgodnie z wymaganiami prawa międzynarodowego. Jeżeli min. Bevin twierdzi, że nie ma traktatu, który by stwierdzał, iż Gdańsk został formalnie włączony do terytorium państwa polskiego, to tym bardziej nie istnieje dotychczas prawomocny układ, który by odłączał od Polski jej ziemie wschodnie.

Nagankę na politykę brytyjską prowadzi zresztą również otwarcie organ amba-

(Dokończenie na str. 12)

ZE SZTUKI WŁOSKIEJ

Zwiastowanie — Płaskorzeźba Donatelli z Kościoła św. Krzyża we Florencji

R. S.

Przybudówki komunistyczne w Polsce

Fałszywa P. P. S.

„Polska Partia Socjalistyczna", w lubelskim wydaniu, ma poza nazwą bardzo niewiele wspólnego ze starą, owianą piękną tradycją bohaterskich walk o niepodległość P.P.S.

W pierwszym okresie, gdy wystąpiła pod firmą PPS, nie znalazł się w niej nikt z dawnych wybitnych działaczy socjalistycznych.

Stronnictwo, które przed wojną nosiło nazwę P.P.S.C.K.W. przeszło w czasie konspiracji rozłam. Nastąpił on w pierwszym okresie okupacji niemieckiej. P.P.S. rozbiła się na grupę, przyjmującą nazwę Wolność, Równość, Niepodległość i skupiającą wszystkie niemal sztandarowe nazwiska starej partii i tę, która nazwała się Robotniczą Partią Polskich Socjalistów. Było to właściwie usamodzielnienie się i oderwanie od dawnej partii odłamu skrajnie lewicowego, pod wodzą zmarłego w czasie okupacji niemieckiej Próchnika.

Ta R.P.P.S. nie jest jednak jeszcze matką dzisiejszej, lubelskiej P.P.S.

I w R.P.P.S., w okresie formowania się konspiracyjnej komunistycznej tak zw. „krajowej rady narodowej" na przełomie roku 1943 i 1944, nastąpił rozłam.

Część, tzw. grupa „julianowców", zachowując swój radykalnie — lewicowy program gospodarczo-społeczny pozostała na platformie patriotycznej, rozłamowcy weszli do zsowietyzowanej „krajowej rady narodowej".

Wychodziły potem dwie tajne gazety o tej samej nazwie „Robotnik", gdyż rozłamowcy, wychodząc z partii, „ukradli" nazwę dla swego organu.

W ten sposób, po dwuch rozłamach, wszystko co w przedwojennym P.P.S. było patriotyczne, wszystko co posiadało jakąś samodzielną i niezależną myśl polityczną, pozostało bądź we właściwej P. P. S., a więc w W. R. N., bądź też w grupie „julianowców".

Dlatego też robienie przez dzisiejszą fałszywą P. P. S. swoich bohaterów partyjnych z rozstrzelanych działaczy, jak Niedziałkowski, lub zmarłych męczeńską śmiercią w Oświęcimiu na długo przed rozłamem w R.P.P.S., jak Barlicki i Dubois, jest nieuczciwością. Umarli milczą. Ale zbyt znane są postacie Niedziałkowskiego, Barlickiego i Dubois'a, zbyt wiele się wiedziało o ich prawdziwie niepodległościowym nastawieniu, by przez chwilę przypuścić, że mogliby oni należeć do fikcyjnego tworu, idącego na pasku obcej polityki.

W pierwszym okresie po uformowaniu się tak zw. „P.P.S." w Lublinie, w szeregach jej z dawnych działaczy znalazło się zaledwie kilku i bynajmniej nie spośród najwybitniejszych. Byli to: skromny działacz na terenie robotniczego, spółdzielczego ruchu mieszkaniowego, a w czasie okupacji niemieckiej urzędnik w Towarzystwie Ogródków Działkowych — pan Osóbka, dalej wiceprezydent tak zw. „krajowej rady narodowej" — pan Szwalbe, profesor Uniwersytetu lubelskiego, a obecnie „ambasador" w Moskwie — pan Henryk Raabe i pan Drobner, który zresztą na wiele lat przed wybuchem wojny, już był z partii wystąpił. Później przybył pan Adam Ostrowski, który w konspiracji był kierownikiem walki cywilnej na okręg lwowski, a potem delegatem okręgowym na Lwów (co odpowiadało stanowisku wojewody). Po blisko dwumiesięcznym pobycie w więzieniu sowieckim, „zmienił" przekonania, stał się całym sercem człowiekiem Lublina i w nagrodę otrzymał dygnitarskie stanowiska: najpierw „wojewody" krakowskiego, a obecnie „posła" w Sztokholmie. Podobną ewolucję przeszedł dzisiejszy „minister" odbudowy pan Kaczorowski, który w czasie okupacji niemieckiej współpracował z Departamentem Likwidacji Delegatury Rządu.

Po powstaniu warszawskim został przerzucony przez linię frontu z Grodziska pod Warszawą do Lublina adwokat pan Henryk Świątkowski, dzisiejszy „minister" sprawiedliwości, a poprzednio „wojewoda" pomorski.

Dalsze wzmocnienie szeregów pozornej „P.P.S." przyniosło przystąpienie uwolnionych z obozów koncentracyjnych: pana Kuryłowicza i krakowskich działaczy W. R. N. pana Cyrankiewicza (dziś sekretarza generalnego partii) pana Rusinka i pana Motyki.

W czasie lipcowego kongresu partii zgłosił swój akces, najzupełniej nieoczekiwanie i bez żadnego porozumienia z władzami P. P. S. podziemnej pan Jan Stańczyk i został wybrany do „rady naczelnej". Była to przykra niespodzianka dla niezłomnych członków P.P.S. W.R.N. Przez pewien czas pan Stańczyk usiłował odgrywać rolę pośrednika w rozmowach na temat „połączenia" P.P.S. właściwej z rozłamowcami, wkrótce jednak, zwłaszcza wobec jego niewybrednych wystąpień w czasie krótkiego, ponownego pobytu w Londynie, P.P.S. W.R.N. zerwała z nim ostatecznie wszelkie kontakty i traktuje go wyłącznie jako członka lubelskiej P. P. S.

Rozmowy połączeniowe nie przyniosły zresztą żadnego rezultatu. W fazie początkowej P.P.S. podziemna skłonna była do ustępstw i gotową była ponieść pewne ofiary, wyrażając zgodę na niedopuszczenie do przyszłych władz połączonej partii swych najbardziej wybitnych i znanych działaczy. Mimo to porozumienia nie osiągnięto. Kierownicy ugodowej tak zw. „P.P.S." okazali się zbyt zachłanni i zazdrośni o stanowiska w partii, obawiając się, że doły jej przy wyborach nowych władz poprą bezwzględnie działaczy niepodległościowych z P.P.S. podziemnej.

Dlaczego właściwie emisariusze sowieccy przy tworzeniu tak zw. „krajowej rady narodowej" dopuścili obok P.P.R. fikcyjną „P.P.S.", natomiast dlaczego przy powstawaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego stawiali zarzuty, że jest ono niepotrzebne, bo przecież istnieje już Stronnictwo Ludowe? Logicznej i prostej odpowiedzi na oba te pytania nie znajdziemy. Istnienie dyrygowanej „P.P.S." uzasadnione jest oczekiwaniem, że piękna i popularna wśród robotników nazwa zwabi wielu członków i odciągnie ich od P.P.S. niepodległościowej. Trzeba przyznać, że te rachuby maskaradowe w pewnej mierze nie zawiodły.

W dołach lubelskiej „P.P.S." istotnie jest wielu ludzi z partii właściwej, są oni jednak dla reżymu elementem niepewnym i niebezpiecznym. I właśnie obawa, że ten niewłaściwy elemnt mógłby z czasem opanować władze partii, uzasadnia konieczność istnienia obok P.P.S. — Polskiej Partii Robotniczej, będącej awangarda „nowego ładu" komunistycznego i gwardią przyboczną władz.

Fałszywe Stronnictwo Demokratyczne

Stronnictwo Demokratyczne jest sztucznym tworem powstałym w okresie tworzenia tak zw. „krajowej rady narodowej", mającym na celu zwerbowanie inteligencji pracującej dla popierania i współdziałania z władzami. Jest to ugrupowanie polityczne o wpływach i znaczeniu zdecydowanie mniejszym od pozostałych trzech stronnictw. We „władzach" reprezentowane jest tylko przez pana Rzymowskiego, mającego tytuł „ministra spraw zagranicznych" Z wybitnych działaczy S. D. poza panem Rzymowskim będącym prezesem stronnictwa, w okresie początkowym na pierwszy plan wysunęli się pan Wassowski (Wasserzug), przed wojną dyrektor Szkoły dziennikarskiej w Warszawie, dziś redaktor naczelny organu Stronnictwa — „Kurier Codzienny", pani Regina Fleszarowa, b. senatorka z BBWR, obecnie wyższa urzędniczka „M.S.Z." oraz pan Leon Chajn, przed wojną aplikant adwokacki, dziś „wiceminister sprawiedliwości".

Zarówno na terenie swojego stronnictwa, jak i urzędu, jest pan Chajn osobą decydującą. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że komintern delegował do każdego z czterech stronnictw, tworzących „koalicję rządową", swoich przedstawicieli, którzy nie zajmując w tych stronnictwach stanowisk formalnie najważniejszych (poza PPR), decydują jednak o wszystkich ich ważniejszych poczynaniach. Takim wysłannikiem kominternu w Stronnictwie Demokratycznym jest właśnie pan Chajn.

W „ministerstwie sprawiedliwości", wyłącznie pan Chajn decyduje o obsadzeniu wszystkich stanowisk, zarówno w sądownictwie, jak i prokuraturze. Trzeba przyznać, że w akcji tej przyjął początkowo jako zasadnicze kryterium fachowość i zdolności, powołując niemal wyłącznie przedwojennych sędziów i prokuratorów, nawet w niektórych wypadkach znanych jako oskarżycieli w procesach komunistycznych. Dzięki temu ten młody i zdolny niewątpliwie człowiek znalazł sobie początkowo w sferach sądowniczych dość duże uznanie. Wkrótce jednak pokazał pan Chajn swe właściwe oblicze. Na zjeździe w Łodzi, w sierpniu br. wygłosił przemówienie, w którym oskarżył sądowników o „reakcyjność" i groził, że o ile nie zmienią swego dotychczasowego nastawienia to będzie musiał przeprowadzić szerokie zmiany personalne, rezygnując z elementu fachowego na rzecz ludzi o „przekonaniach demokratycznych". To charakterystyczne wystąpienie stanowiło ukoronowanie napastliwej kampanii prasy oficjalnej przeciwko kilku wyrokom sądowym, przywracającym dawnym właścicielom odebraną im niesłusznie przy wykonaniu reformy rolnej ziemię. Wyroki były również przyczyną wydania dekretu, wyjaśniającego, iż w wyniku reformy rolnej właścicielem gospodarstw i folwarków podlegających parcelacji staje się państwo, które z kolei obdziela ziemią nowych właścicieli. Wobec tego dawny właściciel, pozbawiony niesłusznie swej ziemi, nie może wystąpić ze skargą sądową o zwrot przeciwko nowonabywcom, a jedynie przeciwko państwu.

Po zdobyciu Warszawy, Stronnictwo Demokratyczne zostało wzmocnione dzięki przyłączeniu się dwuch ugrupowań, działających w czasie konspiracji jako Stronnictwo Polskich Demokratów i Polskie Stronnictwo Demokratyczne. S.P.D. i P.S.D. powstały w końcowym okresie okupacji niemieckiej w wyniku rozłamu, jaki nastąpił w konspiracyjnym Stronnictwie Demokratycznym, będącym kontynuacją przedwojennego stronnictwa. Obie te grupki weszły później w skład tzw. Centralizacji Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych. W czasie powstania „centralizacja" zgłosiła akces do komunistycznej krajowej rady narodowej". Wprawdzie później decyzja ta została cofnięta, jednak w rezultacie większość ugrupowań tworzących „centralizację", podporządkowała się prosowieckiej „krajowej radzie narodowej". Z głośniejszych działaczy S. P.D. wymienić należy: ś. p. inż. Romualda Millera, kuratora okręgu szkolnego warszawskiego — Wojeńskiego, redaktora tygodnika „Epoka" — Lukreca, Arczyńskiego („Marek") i Żmigrodzkiego.

Również w 1945 r. wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego prof. Adam Krzyżanowski i został prezesem okręgu krakowskiego stronnictwa.

Stronnictwo Demokratyczne stało się głównie schronieniem dla pochliwej części inteligencji, która uważając, że w obecnych warunkach każdy będzie musiał znaleźć się w jakiejś partii popierającej władze warszawskie, wybierała stronnictwo, wyglądające na najbardziej „umiarkowane". W ten sposób w szeregach stronnictwa znalazło się dość wiele osób nawet o przekonaniach konserwatywnych.

Po utworzeniu w Moskwie tzw. „tymczasowego rządu jedności narodowej" wszczęto rozmowy w sprawie połączenia Stronnictwa Demokratycznego z podziemnym Zjednoczeniem Demokratycznym *). Rozmowy te nie przyniosły jednak żadnych pozytywnych wyników. W pierwszych dniach października rb. Zjednoczenie Demokratyczne rozwiązało się, motywując tę decyzję niemożnością osiągnięcia porozumienia w sprawie połączenia się ze Stronnictwem Demokratycznym, oraz w związku ze zbliżającym się dniem 15 października, wyznaczonym „dekretem amnestyjnym", jako ostatecznym terminem zaprzestania wszelkiej działalności podziemnej.

Dzisiaj pozycja Stronnictwa Demokratycznego stała się bardzo słaba. Niektórzy sądzą, że po utworzeniu tzw. Stronnictwa Pracy, Stronnictwo Demokratyczne ulegnie rozwiązaniu.

Fałszywe Stronnictwo Ludowe

Tak zw. Stronnictwo Ludowe powstało z tzw. „Woli Ludu", mało znaczącej grupy politycznej wchodzącej w skład tzw. „krajowej rady narodowej". Również i tu mamy do czynienia z fikcją utworzoną z woli Kremla, skupiającą wokół paru agentów kominternu zaledwie kilkunastu mniej znanych działaczy starego Stronnictwa Ludowego. Spotkamy więc tutaj obok pana Korzyckiego (sekretarz generalny Naczelnego Komitetu Wykonawczego) pana Króla, (redaktor „Zielonego Sztandaru", „Wici" i „Chłopów"), panów Kaczochy i Kowalskiego („minister" kultury, poprzednio członek prezydium „krajowej rady narodowej"), będących jako osoby zaufania reżimu trzonem Stronnictwa, ludzi pochodzących z przedwojennego Stronnictwa Ludowego jak pp. Bańczyk, Janusz Litwin, Andrzej Witos, Maślanka, Dzendzel, Rek, Baranowski.

W pierwszej fazie główne zadania Stronnictwa sprowadzały się do

1) zjednywania sobie jak największej liczby członków przy pomocy krzykliwej i oszczerczej propagandy wymierzonej przeciwko podziemnemu właściwemu Stronnictwu Ludowemu, pomawiającej to ostatnie o zamaskowaną „reakcyjność" oraz

2) do aktywnego współdziałania członków Stronnictwa w technicznym wykonywaniu reformy rolnej.

Po utworzeniu w Moskwie tzw. „tymczasowego rządu jedności narodowej", powstała konieczność dopuszczenia do jawnej działalności podziemnego Stronnictwa Ludowego, którego trzech członków weszło w skład owego „rządu". Ś.p. Witosowi zaś ofiarowano stanowisko zastępcy „prezydenta krajowej rady narodowej". (Witos nigdy funkcji tych nie objął). Należy przy tym podkreślić, że członkowie podziemnego S. L. otrzymali stanowiska we władzach ustanowionych w Polsce na miejsce ustępujących z władz ludzi z fikcyjnego S. L. (chodziło tu o „wicepremiera" Janusza „ministra administracji publicznej" Maślankę i „wiceprezydenta k. r. n." Kowalskiego). Fikcyjne S. L. otrzymało w nowym „rządzie" jedynie dwa stanowiska: „ministra" zdrowia (Litwin) i „ministra kultury" (Kowalski). Wyraziła się w tych przesunięciach pewnego rodzaju taktyczną rejterada ze strony czynników decydujących na odcinku Stronnictwa Ludowego. Był to zresztą obok przybycia do Polski korpusu dyplomatycznego, jedyny widoczny efekt wejścia Mikołajczyka do władz warszawskich.

Wkrótce też po powstaniu owego „rządu" rozpoczęły się pomiędzy obu stronnictwami rozmowy, zmierzające do połączenia ich w jedną partię.

W czasie długotrwałych pertraktacji w S. L. oficjalnym zarysowała się dość wyraźna różnica zdań między poszczególnymi przywódcami. Podczas kiedy prezes Naczelnego Komitetu Wykonawczego p. Bańczyk, prezes klubu poselskiego S. L. — Drzewiecki i pan Litwin skłonni byli do kompromisu i szli na dość daleko idące ustępstwa na rzecz właściwego S. L. podziemnego, sekretarz generalny N. K. W. pan Korzycki, oraz panowie Kaczocha i Król reprezentowali stanowisko o wiele bardziej sztywne, w którym utwierdzały ich niewątpliwie podniety ze strony pana Gomółki z P.P.R. Wyłoniona do rozmów delegacja S. L. dzięki wpływom Bańczyka, Drzewieckiego i Litwina, wyraziła w końcu zgodę na proponowany przez S. L. podziemne podział miejsc we władzach połączonej partii w myśl którego prezesem miał być Witos, I wiceprezesem Mikołajczyk, II Kiernik lub Niecko, III-Bańczyk, zaś stosunek we władzach miał się wyrazić jak 7 do 4 na korzyść S. L. podziemnego. W parę godzin później decyzje te jednak cofnięto, podobno pod naciskiem pana Gomółki.

Wówczas S. L. podziemne postanowiło działać samodzielnie. Ogłosiło ono w całej oficjalnej prasie swój pierwszy komunikat, zawiadamiający o wznowieniu działalności Stronnictwa Ludowego. Komunikat ten wyjaśniał ponadto, że na skutek niedojścia do porozumienia z grupą powstałą z „Woli Ludu", która przyjęła nazwę Stronnictwa Ludowego dawne stronnictwo przyjmuje dla odróżnienia nazwę P o l s k i e g o Stronnictwa Ludowego.

Stronnictwo Ludowe oficjalnie nie zrezygnowało jednak z prób wznowienia rozmów. W połowie września ogłosiło ono, świeżo opracowaną „Deklarację ideowo-polityczną", mającą być rzekomo podstawą do zjednoczenia, a 16 września — komunikat stwierdzający „niezłomną wolę skupienia wszystkich ludowców w jednym stronnictwie".

Zabiegi te pozostały jednak bezowocne, a w samym fikcyjnym stronnictwie na tle stosunku do P. S. L. zarysowały się bardzo wyraźnie fermenty, które podczas odbywającego się w Warszawie w dniach 24-26 września, zjazdu Rady Naczelnej, przerodziły się w rozłam. Na stu uczestników zjazdu grupa 40 osób, przeważnie byłych członków przedwojennego Ruchu Ludowego, powodowana prawdopodobnie wyrzutami sumienia opuściła demonstracyjnie salę obrad.

Wśród rozłamowców znaleźli się wszyscy wybitniejsi działacze oficjalnego S. L. z Bańczykiem, Drzewieckim, Litwinem, Maślanką Andrzejem Witosem i Bertoldem na czele.

Wkrótce potem Naczelny Komitet Wykonawczy, ogłosił komunikat o wykluczeniu ze stronnictwa tych działaczy.

Jest rzeczą oczywistą, że fikcyjne, sztuczne Stronnictwo Ludowe, podobnie jak wszystkie inne komunistyczne przybudówki partyjne w Polsce, zostałoby zdruzgotane w wyborach, gdyby były one wolne. Dziś jednak „Stronnictwo Ludowe" trwa licząc na wspólny blok wyborczy stronnictw komunistycznych, i w oparciu o swych mocodawców prowadzi walkę z P. S. L.

*) Zjednoczenie Demokratyczne powstało pod koniec 1943 roku w wyniku fuzji trzech ugrupowań politycznych: Związku Odbudowy Rzeczypospolitej, Polski Niepodległej i Stronnictwa Demokratycznego. Po rozszerzeniu składu Rady Jedności Narodowej (legalnego podziemnego parlamentu polskiego) weszło do niej obok „Racławic" i „Ojczyzny" również „Zjednoczenie Demokratyczne", które zostało powołane do komisji głównej Rady Jedności Narodowej.

BYŁEM NA KONTYNENCIE, PISZĘ CO WIDZIAŁEM ...(I).

Polskie trampy

Kiedy, po wrześniu 1939 r. we Francji możolnie odbudowywał się Rząd Rzeczypospolitej i jej armia **do nowej, nieustępliwej walki z Niemcami**, w Paryżu rozpoczął ożywioną działalność propagandowo-prasową utalentowany pisarz sowiecki Ilia Ehrenburg,

Ehrenburg, autor doskonale cynicznych książek powieściowych, zawsze był niepokojąco bliski sprawom polskim. Czy wówczas, gdy w niemal każdej powieści swej umieszczał „polskiego Żydka", bądź „agenta polskiej defensywy", czy wtedy, gdy u Simona i Steckiego biesiadował z... polskimi gospodarzami, czy jeszcze później, gdy w republikańskiej Valencji, jako gość sławnej Pasjonarii, wygłaszał — nudne zresztą — „propagitki" dla rannych „dąbrowszczaków".

Na skraju drugiej wojny światowej, Ehrenburg w Paryżu nie szukał w rzeczywistości ani tematów do coraz gorszych książek, ani nie kleił dla sowieckiej prasy coraz nudniejszych artykułów.

Był to ten "drole temps", kiedy pp. Mołotow i Ribbentrop, podzieliwszy się akuratnie Polską, fetowali się wzajemnie w Berlinie Moskwie.

W tym osobliwym czasie, przynajmniej jednemu z dwóch potężnych, a nowych sojuszników, bardzo było nie na rękę, że **Polska — mimo wszystko — jeszcze nie zginęła, że w łachmanach i dziurawych butach rodzi się w Coetquidan nowa Armia Polska.**

Kto te czasy pamięta, musi pamiętać również, że między tysiącami ochotników i tych, co przebrnęli przez wszystkie możliwe „zielone granice", i tych, którzy rzucali pracę we Francji czy Belgii, kręciły się tabuny dziwnych ludzi, którzy na ziemi francuskiej czy na ziemi belgijskiej szczyli w uszy Polaków, że... właściwie **„bić się dalej nie warto, bo Francja i Anglia zdradziły Polskę!!!"**

Były wówczas trzy główne ośrodki tej akcji, o których wiedzieliśmy nie tylko my, ale wiedzieli również Francuzi, **jednakże przeciwdziałać im nie mogli.**

Paryski mieścił się przy rue Greneuille, brukselski — w skromnym, ale „nietykalnym" domku przy rue Wery, antwerpski urzędował po prostu w tamtejszym „torgpredstwie".

Głową całej, ówczesnej akcji, był Ilia Ehrenburg, jego zastępcami i najruchliwszymi pomocnikami: Antonin Krauze i Dawid Uszkow. Oczywiście w tych dziwacznych czasach Ehrenburg nie był dla dr. Goebbelsa: „parszywym komunistą żydowskim", a Goebbels dla Ehrenburga: „krwawym łgarzem nazistowskim". Czasy były inne.

Jak wiadomo — dość sporo zmieniło się od jesieni 1939 i wiosny 1940 r.

P. Ribbentrop siedzi w brytyjskim kryminale, niesławne szczątki dr. Goebbelsa **można** obejrzeć za 2,6 sh. w sowieckim kinie w Londynie, ZSRR zasiada jako **decydujący sojusznik Wielkiej Brytanii i Francji.**

Nie zmienili się tylko Polacy, a koszmar ich wygnanczej doli, na tle świętujących narodów alianckich, ba — nawet nieprzyjacielskich, nabiera konturów greckiej tragedii.

Pierwszy Polak, którego spotkałem w Paryżu, zadyszanym głosem opowiedział mi, jak się „wyrwał" z obozu dla D. P. w Niemczech i nagle:

— Czy to prawda, że Anglicy wydzierżawili Kanadzie żołnierzy naszych do karczowania lasów i budowy dróg?

Powiedziałem mu po prostu:

— Nie, to kłamstwo.

Nie wiem, czy mi uwierzył. Wiem natomiast, że goebbelsowska propaganda z lat 1939-40 realizowana wówczas przy pomocy Ilii Ehrenburga i jego zdolnych kolegów we Francji i w Belgii, — dzisiaj — odżyła. Nabiera barwy i rozmachu. Rośnie imponująco na znakomitej glebie goryczy, nędzy, prawdziwych czy urojonych krzywd, **wybucha jaskrawym płomieniem przy takich okazjach jak proces w Padeborn.** Oczy zasnuwa wówczas czerwoną mgłą, a gardło ściska żalem. Stwarza fantastyczne paradoksy...

Każdy numer wydawanej przez „ambasadę" warszawską w Paryżu „Gazety Polskiej" dokłada jedną „cegiełkę" do tej akcji, każda „odprawa prasowa" dla „funkcjonariuszy terenowych" prowadzona zwykle przez szefa paryskiego biura "Polpressu" — Bibrowskiego, czy „orientacyjne konferencje polityczno-społeczne", kierowana przez Tomasza Piętkę, zawierają obszerne wskazówki i gotowe już slogany, których zadaniem jest wbijanie w umęczone umysły polskich nędzarzy, iż ich tragicznej doli, ich żebraczej wędrówce winna jest przede wszystkim Wielka Brytania!

Polski emigrant we Francji bardziej odporny jest na tę propagandę. Ma najczęściej swój dom i swych bliskich. Nędzarz z DP-Campu, dziewczyna polska, która osiągnęła już... dno, chłoną propagandę bez zastrzeżeń, zwłaszcza gdy mówi tak uorderowany oficer polski, jak to miało miejsce przed kilku tygodniami w francuskiej strefie okupacyjnej z „pułkownikiem" Groszem i jego towarzyszami. Zwłaszcza gdy „złej woli Anglików" przeciwstawiają... szklane domy „rządu" warszawskiego.

■

Nie trzeba pisać i mówić, że Polacy z DP-Campów, czy z rozkwaterowanych po niemieckich wioskach „kompanij oficerskich" są — „zwarci", „podnieśli na duchu".

Nie trzeba.

Trzeba porozmawiać z tymi tragicznymi **„trampami", którzy niby „derwisze tańczący", żarci są gorączką podróżowania, którzy wmawiają maniacko w siebie i innych, że tu gdzie im każą siedzieć, jest źle, że znacznie lepiej będzie w miejscowości X. czy miejscowości Y., że w miejscowości Z. jest kanadyjska placówka, która dzieciom wydaje mleko bez ograniczeń, a jeszcze w innej miejscowości będzie można mniej więcej legalnie zdobyć... buty!**

Trzeba przyjrzeć się jakich podstępów używają, do czego nie naginają się, aby zdobyć sobie miejsce w „jeepie", czy wyżebrać u amerykańskiego szofera jeszcze parę kilometrów na obładowanej benzyną lorze.

Podróżują w mundurach, podróżują w łachmanach. Szeroko, boleśnie szeroko rozwartymi oczyma patrzą na sytych, dostatnio odzianych Niemców, na eleganckie dziewczyny czy aroganckich młokosów z naszywkami UNRRA na ramionach.

Trzeba **usiłować zrozumieć ich życie, a raczej** ich upiorną wegetację, a wtedy... „zwartość", „godność", „podniosły duch" nabierają właściwego ciężaru. **Ciężaru frazesu.**

Opowiada mi człowiek doskonale zorientowany w stosunkach brukselskich, o kłopotach z... polskimi kobietami. — **Jakież możecie tu mieć kłopoty?**

Okazuje się, że z rozmaitych miejscowości Rzeszy dziewczyny i kobiety starsze, najczęściej w strojach, które przypominają mundur wojskowy, z „Polandami" na ramionach, z orzełkami na beretach czy furażerkach, **przesiąkają do Brukseli.**

— Zwykle to bywa tak, — opowiada mój rozmówca, — **że zapewniają tego, który zdecydował się je przewieźć, iż mają w Brukseli bliskich czy znajomych. Zdarza się, oczywiście, że istotnie mają, ale... w większości wypadków nie mają nikogo i wtedy — narasta problem. Muszą wszakże z czegoś żyć...**

W niespełna dwie godziny po tej rozmowie, na bulwarze Anspach podeszła do mnie młoda, może 17-letnia dziewczyna. Takie dziewczyny, po dwie, po trzy spacerowały kiedyś, nucąc niefrasobliwie w nadwieczornej ciszy, po łowickiej czy sieradzkiej szosie.

Zapytała po polsku, śmiało, bez najmniejszej żenady: — Czy nie ma pan czego do sprzedania? A może chce pan kupić jedwabne pończochy? Może amerykańskie papierosy?

■

Doskonały lekarz warszawski, oficer Armii Krajowej, który też tu zawędrował z jakiegoś „lagru", kiwa głową.

— Tak, tak. Oczywiście nie trzeba uogólniać, ale trudno łudzić się, aby z pośród nas, którzyśmy przeszli czy lata obozów jenieckich, czy lata okupacji niemieckiej zakończone powstaniem i... obozem jenieckim, dało się wszystkich uratować. Można rozumie się kultywować legendę, ale — jeśli chce się spojrzeć prawdzie w oczy, to — **prawda jest straszna! Gdyby chociaż w Kraju, ale — po jednej okupacji, druga okupacja. To jest ponad ludzkie siły.**

■

W jednej z nędzniejszych dzielnic Brukseli, znajomy, berliński Żyd, który po 1933 roku uciekł do Belgii, aby od wiosny 1940 r. do lata 1944 r. przesiedzieć w... piwnicy, w tejże piwnicy zainstalował teraz „hotel" dla najbiedniejszych.

Ma właśnie trzech klijentów: gajowego z Siniawki koło Baranowicz, ex-urzędnika pocztowego z Pereczina na Rusi Podkarpackiej i serbskiego dentystę z Belgradu. Tak się złożyło, że wszystkich trzech, jako bezspornie obywateli sowieckich czy alianckich, pozostawiono w obozie w Turyngii, gdy wkroczyły tam wojska sowieckie. Uciekli i dobrnęli aż do Brukseli.

Nie można z tymi ludźmi rozmawiać. **Za każdym słowem czai się strach zwierzęcy.** Tak oto, w reporterskim skrócie wygląda rzeczywistość polska na drogach i wśród rumowisk miast niemieckich, na ulicach brukselskich czy paryskich.

W takim **klimacie** akcja „polskich" następców Ehrenburga, Krauzego czy Uszkawa, może rozrastać się, **musi** dawać plony. **I tylko nieugięci patrzą — mimo wszystko — ku Zachodowi, ku nieznanej wyspie, która przez cztery czarne lata wołała do nich słowami: „Tu Polskie Radio z Londynu"!**

Wł. Popławski

NIEMCY HITLEROWSKIE PRZED SĄDEM

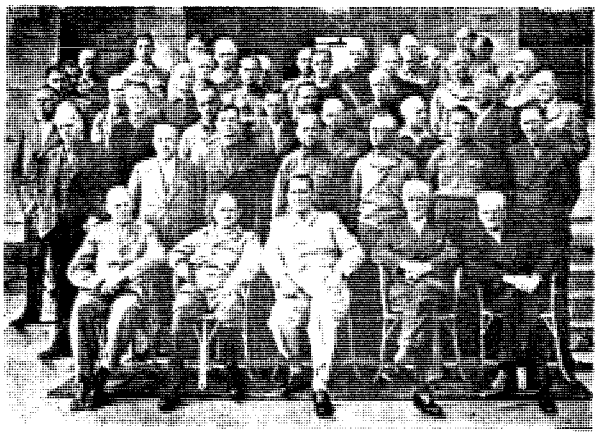

Zdjęcie, które reprodukujemy wraz z schematem, według którego Czytelnik może rozpoznać cały polityczny sztab Hitlera, zostało zrobione w Luksemburgu, latem tego roku, po uwięzieniu przywódców hitlerowskiego narodowego socjalizmu przez Anglo-Amerykanów. Wśród czterdziestu pięciu aresztowanych brakuje tych, którzy popełnili samobójstwa, lub zginęli. Wszyscy obecni w tej grupie przewiezieni zostali do Norymbergi. (**„Newsweek"**)

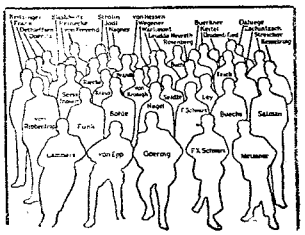

Schemat do fotografii zamieszczonej obok

Prześladowanie Unitów na ziemiach polskich

Angielski tygodnik katolicki „The Tablet" zamieszcza pod tytułem „The Assault upon the Unitas" artykuł o sytuacji kościoła grecko-katolickiego na ziemiach na wschód od Linii Curzona.

Znaczną większość ludności na obszarach, włączonych ostatnio do ZSRR pod nazwą Zachodniej Ukrainy — pisze „Tablet" — stanowią katolicy obrządku bizantyńskiego (Unici). Stanowią oni najliczniejszą grupę w Kościele grecko-katolickim obliczaną na około 5 milionów. Unici są obecnie poddani bardzo silnej presji w kierunku skłonienia ich do wyrzeczenia się swej wiary i przejścia do kościoła prawosławnego, podporządkowanego rosyjskiemu patriarchatowi. I tak, jak donosiliśmy swego czasu wszyscy biskupi unicey zostali uwięzieni i osadzeni w więzieniu w Kijowie, gdzie jeden z nich zmarł. Obecnie z dodatkowych informacji, potwierdzonych przez Rzym, można zdać sobie sprawę, w jaki sposób władze sowieckie pozyskawszy trzech księży apostatów stworzyły tzw. „Komitet Inicjatywy Połączenia Kościoła Grecko-Katolickiego z Cerkwią Prawosłowną".

18. czerwca b. r. rząd Ukrainy sowieckiej wydał dekret postanawiający, że wobec nieobecności biskupów Kościół Unicki przechodzi pod administrację Komitetu. Z 2.700 księży unickich, tylko 42 zgodziło się na ten narzucony stan rzeczy.

Do 1. lipca br. oporni księża pozostawali jeszcze w archidiecezji lwowskiej i wystosowali pismo zbiorowe do Mołotowa, które zostało również ogłoszone drukiem w czasopiśmie francuskim „La Croix". Cytujemy wyjątki:

„W związku z zaaresztowaniem całego episkopatu i wielkiej ilości księży Kościoła grecko-katolickiego na zachodniej Ukrainie i w wyniku zakazania wszelkiej działalności naszemu duchowieństwu, Kościół nasz znalazł się w jak najbardziej anormalnej sytuacji. Sytuacja ta jeszcze bardziej się skomplikowała przez fakt, że stworzono we Lwowie „Komitet Inicjatywy Połączenia Kościoła Grecko-Katolickiego z Cerkwią Prawosławną". Komitet ten pod przewodnictwem dr. H. Kostielnika ze Lwowa, dr. Michała Michnika z Drohobycza i ks. Pielewskiego ze Stanisławowa wydał odezwę, skierowaną „do dostojnego duchowieństwa zachodniej Ukrainy", datowaną 28 maja br. i podpisaną przez wyżej wzmiankowanych księży".

„My księża Kościoła Katolickiego nie mamy zamiaru prostować nieścisłości historycznych, zawartych w tej odezwie, gdyż fakty te są powszechnie znane".

„Nasze stanowisko wobec inicjatywy dr. Kościelnika jest całkowicie negatywne. Potępiamy jego działalność jako szkodliwą, całkowicie sprzeczną z tradycją Kościoła i sprzeczną z Prawdą, głoszoną przez Chrystusa, że będzie jeden Pasterz i jedna Owczarnia. Z tych powodów jasnym jest, że nie możemy słuchać głosu, który namawia nas do apostazji wobec naszej wiary. Położenie, które się wytworzyło, może doprowadzić w szybkim czasie do jednej z tych religijnych wojen, które, jak wykazuje historia, przynoszą tylko zło zarówno Kościołowi, jak i całemu narodowi".

Całość obrazu — kończy „Tablet" — musi być uzupełniona następującymi szczegółami. Otóż po pierwsze, rząd sowiecki zażądał od rządu warszawskiego **deportowania z terytoriów, które pozostały przy Polsce do Ukrainy Sowieckiej wszystkich Unitów, którzy mieszkali na zachód od Linii Curzona.** Dotychczas wysiedlono na wschód na zasadach tzw. „przyjaznej wymiany ludności" około 25.000 Unitów.

Po drugie, poważna grupa katolików obrządku bizantyńskiego została wysiedlona z Rumunii, północnej Bukowiny i Besarabii do Związku Sowieckiego.

Tak więc każdy greko-katolik uznany został za jednym zamachem za prawosłownego, Ukraińca i obywatela sowieckiego.

Ś. P.

STANISŁAW KIJAK

ppłk dypl. piech.

Odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych w r. 1920, odznaczony Krzyżem Walecznych w r. 1945, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Zasługi Litwy Środkowej. Po krótkich cierpieniach zmarł opatrzony św. Sakramentami w 7 Szpitalu Wojennym w dniu 28 listopada 1945 r.

Cześć pamięci Nieodżałowanego i Najlepszego Kolegi i Przełożonego.

Szef Oddziału Informacyjnego, oficerowie, podoficerowie, szeregowi Oddziału Informacyjnego

W PRASIE OBCEJ O SYTUACJI W POLSCE

Prasa obca przyniosła ostatnio wiele relacji z Polski. Sprawozdania wysłanych do Polski korespondentów zagranicznych potwierdzają w całej rozciągłości tę charakterystykę obecnej sytuacji w Kraju, jaką znamy z prasy polskiej — wedle wiarogodnych źródeł krajowych. Jednak ostatnie relacje obcych korespondentów, które poniżej zamieszczamy, zawierają pewne nowe akcenty godne najwyższej uwagi, świadczą bowiem z jednej strony, że sytuacja gospodarcza w Kraju nie tylko nie wykazuje żadnych znamion poprawy, lecz przeciwnie popada w coraz większe rozprzężenie i chaos, — z drugiej zaś strony widać z nich także, iż naprężona od dłuższego czasu sytuacja polityczna w Polsce stale i coraz bardziej się zaostrza.

„Dzisiejsza Polska"

„Daily Mail" z 16 ub. m. ogłasza następujące sprawozdanie swego specjalnego korespondenta, Ralph Hevins, z jego ostatniej podróży po Polsce:

„1.000 — milowa podróż z Warszawy do Berlina, z której właśnie powracam i w ciągu której zwiedziłem wszystkie najważniejsze miasta nowej Polski z wyjątkiem Krakowa i okręgu śląskiego — daje obraz kraju, pogrążonego w chaosie.

„Co najbardziej rzuca się w oczy — to: po pierwsze — brak jakiejkolwiek niezawodnej komunikacji, czy to drogowej lub kolejowej czy też pocztowej i telefonicznej; po wtóre — zarówno w miastach jak na wsi życie popadło w tak zupełną dezorganizację, że najbardziej sprawnie funkjonującą jednostką społeczną stała się rodzina; po trzecie — zniszczenie materialne jest niemal całkowite.

„Dam parę przykładów trudności komunikacyjnych. Premier Osóbka-Morawski — pisze R. Hevins — wyruszył z Warszawy do Szczecina pięcioma samochodami osobowymi. Otóż sam widziałem, że do Szczecina dojechał on ciężarowym wozem czerwonej armii. Ja znowu — na ostatni odcinek podróży ze Szczecina do Berlina — wyruszyłem konwojem z trzech samochodów osobowych — a przybyłem do Berlina brytyjską ciężarówką.

„Stanisław Mikołajczyk, który jest wicepremierem, ministrem rolnictwa i wodzem Polskiego Stronnictwa Ludowego, — ma tylko dwa wozy dla swych potrójnych zadań.

„Wewnątrz i wokół stolicy drogi są w tak złym stanie, że połowa wozów ambasady brytyjskiej i amerykańskiej zawsze stoi połamana.

„Taczki, czy też chłopska fura — oto tempo życia dzisiejszej Polski.

„Brak komunikacji telefonicznej między Warszawą a takimi miastami jak Szczecin — zaś z Moskwą łączy Warszawę tylko jedna przeciążona linia.

„Poza okazyjnymi samolotami — Polska jest rzeczywiście odcięta od świata, a najprostsza transakcja osobista, administracyjna lub polityczna wymaga największych wysiłków i przepraw.

„Struktura społeczna stała się tak zagmatwana skutkiem najazdu, rozbioru, nowego najazdu, wyzwolenia, zmian terytorialnych, przesiedleń oraz łupieży armii czerwonej — że licząca 25.000.000 ludność po wielekroć już starała się sama sobie dawać radę.

„Niepokonalne trudności rządowe zmuszają ludzi do radzenia sobie na własną rękę. Polska dzisiejsza jest narodem „myśliwych". Ja sam np. w Łodzi — w największym ocalałym mieście polskim — „upolowałem" łóżko w luksusowym dwupokojowym mieszkaniu, lecz już w Bydgoszczy (leżącej w „polskim korytarzu") nie miałem jednej szyby w oknach, zaś w Koszalinie („Koeslin" — na dawnym Pomorzu niemieckim) nocowałem w najniechlujniejszej izbie, do jakiej kiedykolwiek wejść mi było dane.

„Wszędzie byłem naprawdę uszczęśliwiony znalazłszy łóżko lub choćby dach nad głową".

„W Sopotach (letnisko bałtyckie) jadłem przedwojennej jakości befsztyki, lody i doskonały tort francuski — lecz w Koszalinie musiałem się zadowolić jakimś sucharem z odrobiną konserwy. Wszędzie ludzie umierają z głodu i biedy — zaś ich sąsiedzi w tejże ulicy opychają się jadłem.

„Nie ma nigdzie racjonowania żywności. 20% wszelkiej żywności zabiera rząd, lecz cenom na wolnym rynku pozwolono osiągnąć iście astronomiczne poziomy.

„To samo z odzieżą. Kierownik Banku Polskiego ma tylko jedno ubranie — to właśnie, w którym wystąpił w Londynie, dokąd udał się samolotem w ubiegłym miesiącu — podczas gdy paru spryciarzy nosi nowe angielskie „tweedy". Życie staje się kwestią indywidualnej przemyślności. Sytuacja stacza się obecnie w niedorzeczność.

„Klasy społeczne pomieszały się z sobą nie dopoznania. Stykałem się z ludźmi wszelkiego pokroju. Od premiera, ministra spraw zagranicznych, Wincentego Rzymowskiego, i ministra propagandy, Matuszewskiego — do księcia Krzysztofa Radziwiłła i innych wywłaszczonych obywateli ziemskich.

„Radziwiłł, który przeszedł szereg obozów koncentracyjnych, dostał małą posadę w ministerstwie spraw zagranicznych — a kelner mój z Sopot uszczęśliwiony był swą posadą w restauracji, którą otrzymał po wyrzuceniu go na bruk z jego dawnego majątku, — oto okazy nowego proletariatu. W Bydgoszczy kelnerką w barze była dziewczyna z towarzystwa — córka ziemiańskiej rodziny. Utrzymywała ona swych rodziców — zamiast sama być na ich utrzymaniu.

„Jest to nie tyle wynikiem rewolucji społecznej — co skutkiem upadku polskiej cywilizacji. Mało jest ładu i składu w słynnych rządowych „reformach". Rząd robi nie wiele poza dyskontowaniem tej rewolucji, której dokonała wojna.

„Zniszczenia, które oglądałem w Warszawie, Łodzi, Bydgoszczy, Gdyni, Sopotach, Gdańsku, Koszalinie i Szczecinie, były conajmniej takie, jak w Berlinie — a zwykle znacznie większe. Na domiar złego: zniszczenia w mijanych po drodze miasteczkach i wioskach były równie wielkie. Łódź jest jedynym mniej niż do połowy zniszczonym miastem, z tych jakie widziałem w ciągu 10 dni.

„Nad tym niewiarogodnym zamętem sprawuje władzę zwycięska armia czerwona. Podzielę się tu mym przelotnym doświadczeniem co do rosyjskich żołnierzy. Między Warszawą i Łodzią naliczyłem 600 czterolub sześciokołowych ciężarówek (przeważnie z przyczepkami) wiozących „odszkodowania" — mianowicie: żywność, maszyny, meble — z Rzeszy lub z terytoriów poniemieckich. Drugi olbrzymi konwój wiózł na wschód rosyjskich wysiedleńców.

„W Bydgoszczy o północy po zgaszeniu świateł zaczęły skroconą drogą przez miasto płynąć rosyjskie ciężarowe konwoje wyładowane „odszkodowaniami". Wzdłuż całej trasy mej 1.000-milowej podróży widziałem, jak z polskich pól pędzono wielkie stada krów, owiec i kóz do rosyjskich rzeźni. Niesłychane łupiestwo, wiele drobnych nawet kradzieży.

„Trwa także strach przed Rosjanami — i muszę przyznać, że poza garstką zawodowych ruscfilów, którzy zawsze umieli mnie dopaść na każdym postoju — w ciągu mej drogi nie usłyszałem z żadnych polskich ust ani jednego szczerze życzliwego słowa o rosyjskich wojskach, które przyniosły wyzwolenie.

„W rzeczywistości Rosjanie i sobie samym i swym zwolennikom niemożebnie utrudniają sytuację, po prostu oburącz wyrzucają na śmietnik tę życzliwość, którą zaskarbili sobie swymi słynnymi czynami na polach bitew.

„Polacy w ciągu 200 lat nigdy nie kochali Rosjan. Lecz jeśli najwyższe władze sowieckie nie wydadzą zarządzeń nakazujących armii czerwonej natychmiastową zmianę jej stosunku do Polaków — wkrótce może już być za późno. Dotychczasowa bierna obrona Polaków przejdzie w gwałtowną akcję antyrosyjską".

A może właśnie taką akcję gwałtowną chciałby ktoś spowodować tak, jak to się już stało w wypadku zajść antysemickich.

„Nowa Polska"

„New York Herald Tribune" z 6 listopada przynosi przedruk ogłoszonego pod tym tytułem artykułu „New York Times", z którego wyraźnie przebija teza, iż „rząd" warszawski nie tylko paraliżuje możliwość politycznego odrodzenia się Polski lecz nadto stanowi po prostu zawadę w dziele gospodarczej odbudowy kraju:

„Po wojnie, którą Niemcy toczyli tak długo i tak brutalnie zwłaszcza w Europie wschodniej — można się tam było obawiać niebezpieczeństwa chaosu i walk wewnętrznych oraz prób opanowania sytuacji drastycznymi środkami. Środków takich istotnie użyto, unikając niektórych najgorszych niebezpieczeństw. Jednak coraz częstsze ostatnio raporty o tym, co się rzeczywiście dzieje w Europie wschodniej, malują obrazy posępne — niekiedy wprost wstrząsające — i ukazują znowu głębokie rany, jakie pozostawiła po sobie wojna.

„Dobitny tego przykład dają raporty o nowej Polsce, które otrzymujemy od naszego korespondenta Gladwin Hill'a. Deptany stopą najeźdźcy przez 5 lat z połową, podzielony na części, zepchnięty naprzód na wschód przez Niemców, potem znowu na zachód przez Rosjan — Naród Polski, którego synowie milionami poszli na wygnanie lub deportację — nigdy jednak nie przestał walczyć. Obecnie toczy on uciążliwą walkę o odbudowę. Dla przebytej przezeń udręki — żaden naród bardziej od niego nie zasłużył sobie na współczucie i pomoc. A jednak dzisiejszy obraz Polski nie jest pocieszający. Znikoma mniejszość, narzucona krajowi z zewnątrz trzyma naród pod terrorem. Lowom na ludzi i masowym aresztowaniom towarzyszą odwetowe wystąpienia ruchu podziemnego, który po swej walce o wolność Polski dziś nie odważa się ujawnić. Do tego wszystkiego dołącza się bezmierne spustoszenie kraju przez wojnę. Wzmaga się ono dziś jeszcze wskutek obecności wojsk rosyjskich w kraju — wojsk, których dyscyplina zaczyna czasami zanikać.

„Jeśli przypuszczano, że obecny rząd przyłoży się do dzieła odbudowy Polski — to wydaje się, że stał się on w tym zawadą dla samego siebie. Kraj może uleczyć jedynie powszechna mobilizacja energii narodu — drogą przywrócenia wolności osobistej. Uzdrowienie sytuacji może się dokonać tylko przez utworzenie istotnie reprezentatywnego rządu, co z kolei można osiągnąć jedynie drogą takich samych wyborów narodowych, jakie już przeprowadzono lub jakie się przygotowuje w innych krajach wyzwolonych. Obecny rząd polski jest do tego obowiązany w myśl deklaracji jałtańskiej i poczdamskiej.

„Co do wojsk rosyjskich — to jest oczywiste, że dopóki Rosjanie okupują Niemcy — dopóty dla ochrony linii komunikacyjnych muszą w Polsce pozostawać rosyjscy żołnierze. Co do innych wojsk — to wspólna deklaracja czterech narodów, wydana na konferencji moskiewskiej, zobowiązuje jej sygnatariuszów do tego, by ich siły zbrojne po zakończeniu działań wojennych nie były używane na obszarach innych państw — chyba tylko dla pokonania nieprzyjaciela lub dla wymuszenia warunków kapitulacji. Ponieważ działania wojenne są ukończone i nie ma żadnych warunków kapitulacji do wymuszenia na Polsce — wycofaniu wielkich armii rosyjskich z Polski nic nie stoi na przeszkodzie. Jeśli by to uczyniono — dopomogłoby to w znacznej mierze do przywrócenia Polsce prawdziwej niezawisłości".

ST. WŁODARZ

UWAGI

W ubiegłym tygodniu odbył się w Rzymie wieczór poezji i pieśni litewskiej. Jak mnie informują organizatorzy — (Klub Federalny Środkowo Europejski) przygotowywane są dalsze imprezy tego rodzaju. Przewidziany jest m. in. wieczór węgierski, słowacki, słoweński, serbski...

Tak się złożyło, że moje losy osobiste w latach 1939 - 1945 związane były w pewnych okresach czasu (i w pewnym sensie) z tymi narodami. I — rzecz osobliwa — w takiej właśnie kolejności.

Latem 1939 przebywałem na Litwie. Polski PEN - Club i Związek Zawodowy Literatów Polskich przygotowywał Zjazd pisarzy, narodów, które uważaliśmy (i — uważamy) za bratnie. Miało się to wszystko odbyć — (pod patronatem, jeżeli można się tak wyrazić, ducha Słowackiego) — w Krzemieńcu, we wrześniu 1939...

Pamiętam dobrze atmosferę szlachetnych złudzeń, w jakiej pracowaliśmy nad tą sprawą. Po niedawnej podróży do Turczańskiego św. Marcina i Bratysławy z zaproszeniem do „braci Słowaków", podążyłem, w lipcu, albo nawet w sierpniu 1939 (!) — na Litwę. „Bracia Litwini" w osobie Prezesa Związku Pisarzy Litewskich p. Giry, przyjęli nas — (grupę pisarzy polskich) — jak to się mówi, z otwartymi rękami. Prócz jednego niefaktu... O niefakcie nie będę wszakże wspominał. Zareagował wówczas z miejsca Zygmunt Nowakowski i wrócił z Kowna do Krakowa. My — zostaliśmy. Profesor Konrad Górski i profesor Wacław Borowy wygłosili parę tuzinów mów na nutę „kochajmy się!" — mimo wszystko... Bracia Litwini odpowiedzieli z nawiązką — na nutę „nie dajmy się"... — — — — — — — —

Poeci - goście z kilkudziesięciu na poczekaniu wkutych słów litewskich układali wcale udane epigramaty w stylu Unii Lubelskiej. Poeci gospodarze — (z pełną osobistego wdzięku i naprawdę utalentowaną, niestety już nie żyjącą poetką Salomeą Neris na czele) — rewanżowali się nam — w nienagannej polszczyźnie...

— A więc — myśleliśmy rozrzewnieni — a więc już...

Natomiast prezydent miasta Kowna przemówił do nas — wysoce dyplomatycznie: po francusku...

Ta protokólarna bezbłędność zmroziła nasz entuzjazm.

— A więc — mówiliśmy sobie zasmuceni — okazuje się, że jeszcze nie...

Ale już następnego dnia w Połądze byliśmy podejmowani z taką żarliwą serdecznością przez tamtejszą spółdzielnię mleczarską, a w drodze przez Żmudź doznaliśmy tylu dowodów wzruszających uczuć przyjaźni — ściskaliśmy we wsiach i miasteczkach litewskich tyle życzliwych nam na pewno rąk, że rozwiał się nawet mój ostrożny zwykle sceptycyzm. (Jakiś starowina ksiądz - Żmudzin wystawił na naszą cześć bramę tryumfalną (!) przed wjazdem do jego ubożuchnego probostwa...) Pragnęliśmy tak gorąco być prekursorami sąsiedzkiej przyjaźni, iż uwierzyliśmy, że nimi naprawdę jesteśmy.

Gdy my uprawialiśmy tę słowacko - polsko - litewską sielankę — także Ribentropp zawierał z Mołotowem pakt przyjaźni.

W rezultacie byłem niebawem istotnie w Krzemieńcu, ale nie na Zjeździe pisarzy. Raczej — na wyjeździe jednego z głównych organizatorów Zjazdu. Mianowicie kurator Liceum Krzemienieckiego Czarnocki (wraz z większością profesorów tej znakomitej uczelni) wyjeżdżał właśnie jako więzień.... Wiadomą drogą na wschód...

Do Wilna tymczasem wkroczyli Litwini. Nie słyszałem nic, aby układali tam epigramaty w stylu Orła i Pogoni. Zaś prezes Gira, podobno, — bo nie wiem tego napewno — stanął w pierwszych szeregach... rusyfikatorów... A atak niemiecki na Podhale ruszył — ze Słowacji....

Jest prawem felietonisty ta — tak ja tę rzecz pojmuję — jest także jego obowiązkiem) — poruszanie takich drażliwych tematów. Współżycie narodów, podobnie jak współżycie jednostek, jest wypadkową wielu sił, dążeń, interesów, idei. Już od czasów Lessinga wiemy, że nie istnieją uczucia proste. Miłość nasza — podobnie jak nasza nienawiść — jest złożona. Obie te namiętności istnieją obok siebie — są z sobą czasami w bardzo misterny sposób splecione. To nie była obsesja u Irzykowskiego, że we wszystkim poszukiwał komplikacji... nie znosił rozwiązań łatwych. Po prostu wiedział — jak sądzę — że takie rozwiązania nie istnieją.

Sprawy współżycia sąsiedzkiego, w ogóle sprawy polityki międzynarodowej, są trudne. Czytelnicy Bernanos'a, a zwłaszcza Mauriac'a wiedzą, że serce człowieka jest — (a przynajmniej może być) — jednocześnie kłębowiskiem żmij i — siedliskiem świętości... Tak samo serce narodu. Nie wierzymy już przestarzałym schematom zeszłowiecznych dramatopisarzy z ich uproszczonym podziałem ludzi na złe i dobre charaktery. Mistrzowska nowela Naglerowej o Dunji) może być przykładem nowoczesnej introspekcji psychologicznej. Tylko przedstawiciele najbardziej zacofanej literatury, jakimi są, jak wiadomo, pisarze komunistyczni, dzwią jeszcze w przebrzmiałej (i psychologicznie nieprawdziwej) manierze świateł i cieni ostro od siebie odgraniczonych. My, cały Zachód, widzimy już te rzeczy inaczej.*

Zdobycze nowoczesnej wiedzy o jednostce ludzkiej muszą być oczywiście zastosowane również w naszej ocenie społeczeństw. Obok doświadczeń złych, smutnych, przykrych, zarówno z naszymi sąsiadami Litwinami, jak, i z naszymi sąsiadami Czechami — podobnie jak ze wszystkimi innymi narodami, z którymi łączy nas wspólnota ideowa — mieliśmy i mieć będziemy, doświadczenia dodatnie, piękne, a nawet wspaniałe. „Zwiedziłem Polskę, Słowację, Węgry, Chorwację, część południowych Niemiec, północne Włochy, Szwajcarię Południową Francję, Andorę, Hiszpanię, Gibraltar i Portugalię"... Byłem niemieckim urzędnikiem, ukraińskim robotnikiem, polskim studentem w Budapeszcie, węgierskim księdzem..., szwajcarskim kwakrem, francuskim maszynistą..., szkockim lotnikiem..." — pisze jeden z uczestników polskiej walki podziemnej..., nie zdając sobie napewno nawet sprawy, jak istotnego dotknął tematu. Nie byłem co prawda, jak cytowany przed chwilą autor, ani „szkockim lotnikiem", ani też „szwajcarskim kwakrem", ani nawet „węgierskim księdzem", lub „francuskim maszynistą kolejowym" — ale byłem jednak w każdym razie przez czas pewien „węgierskim repatrianteni", korespondentem słowackiego tygodnika", „czeskim kupcem", a nawet — „chorwackim geologiem"... Nie byłoby to oczywiście możliwe bez przyjaciół Węgrów, Słowaków, Czechów, i Chorwatów. Na szczęście byli tacy przyjaciele. Tamte lata pełne zdrady, kłamstwa i potworności, sprzyjały jednak — co wydawać się może dziwne — rozwojowi uczuć przyjaźni. Można sobie bowiem wyobrazić w tych latach egzystencję człowieka pozbawionego Ojczyzny, oderwanego od rodziny, nie mającego wiadomości o żonie, czy kochance, o dzieciach — ale nie można sobie wyobrazić niczyjego życia, samej funkcji fizycznego istnienia, bez przyjaciół. Oczywiście także w pewnych okresach czasu i na pewnych terenach, bez przyjaciół Węgrów, Czechów, Francuzów, Szkotów itd. itd.

Zresztą, jeżeli wygominany naszym sąsiadom (np. Słowakom) to czy inne potknięcie, to lojalność każe przyznać, że i my nie byliśmy w stosunku do nich bez błędu... Chodzi o to by, poruszając sprawy nawet najbardziej drażliwe, nie zapominać o zasadniczym uczuciu przyjaźni.

Pamięć o tej przyjaźni, pogłębianie tej przyjaźni (co wcale nie jest równoznaczne z przemilczaniem rzeczy przykrych) — to także — jak mi się wydaje — jeden z konstruktywnych elementów naszej polityki międzynarodowej. Temu celowi, jak sądzę, służą wieczory organizowane w Rzymie przez Klub Federalny.

---

*) *Zamieszczona w książce pt. „Ludzie sponiewierani".*

**) *Marek Celi: „Koncert. Miesięcznik „Nowa Polska", Londyn, maj 1945.*

KAMIL WISKONTT

Po powrocie

Jest faktem historycznym, że po upadku Napoleona wojsko polskie, a raczej zdziesiątkowane kampanią niedobitki, wróciły do kraju.

Tym niemniej, mówiąc o powrocie, nie należy przechodzić do porządku dziennego nad tym, co się stało z wojskiem po powrocie. Wspominając o poświęceniu tamtego wojska i jego dowódców, nie wolno pomijać milczeniem tego, w jakich warunkach z czasem to wojsko w kraju się znalazło. Nie wolno tego pomijać milczeniem bez względu na to, czy historycy skrytykowali czy nie, decyzje powrotu polskich dowódców z Zachodu.

Powody, jak wspomniałem, dla których powrót mógł wydawać się jedyną alternatywą, były wtedy bardzo realne. Wojna była rzeczywiście skończona, traktaty pokojowe przygotowane, a sytuacja polityczna, wytworzona przez cara Aleksandra I, dawała Polakom pewne, choć bliżej nieokreślone, nadzieje. Powrót dał w następstwie próbę porozumienia z Rosją, którą jeszcze wtedy, w początkach w. XIX, było dużo trudniej bezkompromisowo odrzucić.

W r. 1814 nie do przewidzenia musiała być radykalna zmiana kursu polityki Aleksandra, która z całą jaskrawością miała się przejawić w roku, dziewięć lat po powrocie. — po okresie niedługim, zważywszy zwolnione, dziewiętnastowieczne tempo wypadków i radykalność zmiany poglądów cara. Niewątpliwie trudno było przypuścić, że narodowe wojsko Dąbrowskiego i Kniaziewicza przekształci się w marionetkowe wojsko Konstantego, ćwiczone na obcą, nienawistną modłę przez carewicza, że sztandary, które Polacy przynieśli zza Renu, wkrótce pozostaną jedynymi symbolami armii, która pozbawiona zostanie własnej tradycji, starych regulaminów, uświęconych obyczajów.

Powrót tych żołnierzy w r. 1814 był powszechny. Wracali jak jeden mąż, oddziałami. Cóż mogło spowodować tę przedziwną wśród rodaków jednomyślność? Otóż wojsko było zdziesiątkowane, przemęcone kilkunastoletnimi wojnami; kampanią włoską, austriacką, hiszpańską, rosyjską, niemiecką. Ze wspaniałej, 90 tysięcy liczącej armii, którą Księstwo Warszawskie wystawiło Napoleonowi (jedna piąta „Wielkiej Armii"), wrócić miało do Polski mniej niż dziesięć procent. Stało to się nie dlatego, żeby ludzie woleli zostać na Zachodzie. Po prostu więcej ich nie było. Pozostali na przeprawach Berezyny, Elstery i setce innych pobojowisk. Armia była rozbita, a ci nieliczni, którzy się uratowali, gdy nie mogli na swego wodza liczyć już więcej, siłą rzeczy wrócili do Polski. Ludwikowi XVIII — przeciwnikowi Napoleona — zdecydowanie nie wierzyli ci żołnierze, którzy z Napoleonem związali swój los i z nim klęskę ponieśli. Ze strony przywróconego na tron Francji Burbona nie oczekiwali niczego dla kraju i siebie. Z chwilą upadku cesarza, Zachód nie dawał złudzeń jakiejkolwiek nadziei. Polacy byli wówczas w obozie pokonanym, a nie zwycięskim.

W tej sytuacji chciano wierzyć i na ogół wierzono w liberalny kurs polityki Aleksandra, który w letnich miesiącach 1814 r. zjechał do bardziej wonczas, niż zazwyczaj, wielojęzycznego Paryża, tak bardzo już dusznego, przepełnionego wojskami wszystkich krajów koalicji i chmarą dostojnych wysłanników, — i dawał dowody swej łaskawości, podejmując rozmowami tego i owego z polskich oficerów, który się wówczas w Paryżu znalazł. Niewątpliwie dalekimi od przypuszczeń, iż przed upływem lat dziesięciu Aleksander stanie się prawdziwym autokratą, zapomni o swym, na eksport przeznaczonym „made in Russia" liberalizmie, musieli być oficerowie, szerokim, wspaniałomyślnym gestem zapraszani przez dom do ich własnej ojczyzny, — „synowie marnotrawni", którym przebaczano „winy" i którzy do Polski wrócą ze ściśniętym sercem i z pełną ufnością do „papuszki". Tak wyglądała ówczesna „amnestia".

Hr. Ludwik Michał Pac

Wojskowi zastaną na razie sytuację, która będzie usprawiedliwiała ich ufność. Ustanowiona przez Aleksandra Radą Narodową, do której obok Łanskoja, Nowosilcowa i Świczyna wchodzili książę Czartoryski, Lubecki i Wawrzecki miała polecenie łagodnego postępowania i w pewnym stopniu tego polecenia się trzymała. Nota bene, wykonawcy polityki carskiej odbiegną od tej, wytkniętej im z góry linii, dużo wcześniej zanim owa polityka ulegać zacznie zmianie. Nowosilcow i Różniecki, szef ówczesnego polskiego N. K. W. D., będą prowadzili własną politykę terroru, zanim jeszcze Aleksander zmieni oblicze.

Na razie w r. 1814 tendencje cara są szczere i za takie uznaje je cała Europa z Talleyrandem na czele, toteż nie można się dziwić znużonemu wojnami i trawionemu nostalgią żołnierzowi polskiemu, który zwracał oczy ku Wschodowi.

Żołnierz ten miał krótkie złudzenie powrotu do dawnej Polski, Polski jaką znałgdy w końcu lata 1814 roku wymaszerowywał od strony Prus w Poznańskie. Poznań przyjmował go hucznie. Ludność miejscowa witała go tłumnie, radośnie „izami i kwiatami", podejmowała po staropolsku „czym chata...", biesiadą dla czterech tysięcy na placu Teatralnym, na którego rogach pieczono woły, mające nawet jakoby pozłacane rogi, mowami na ratuszu, dźwiękami „Jeszcze Polska...", „Orkiestry wygrywały w czterech miejscach same sztuki narodowe" zanotuje w swych „Pamiętnikach" ppłk Franciszek z Błociszewa Gajewski, żołnierz napoleoński, wraz z innymi, powracający wówczas do kraju.

Hymn narodowy zamilknie niebawem w poznańskim na długo, a w całej Polsce nastaną stosunki, które położą kres wojsku narodowemu.

Spójrzmy, jak wyglądał powrót do Warszawy.

Pierwszy w stolicy ukazał się płk Brzechwa, nadciągający w sto koni z Hamburga. „Jeden z jego żołnierzy — według świadectwa Niemcewicza — zaczepiony i zelżony od artylerzysty moskiewskiego dał mu w policzek tak silnie, iż Moskal zatoczył się, padł głową na koło od blisko stojącej telechy Mołskiego i od uderzenia o obręcz żelazną padł trupem. Schwytano żołnierza polskiego, lecz nim go osądzono, skowanego w dybach, prowadzili Moskale po ulicach, namawiając go, by się zatrzymał i pobudzał lud do litości nad sobą i skruszenia kajdan jego...".

Dnia 9 września 1814 r. weszły do miasta główne siły — „sześć tysięcy pięćset ludzi, pysznie ubranych i w przedziwnie pięknej postawie"

„...szło 800 gwardii, dwa pułki ułanów po 500 koni każdy, 800 krakusów czyli kozaków naszych, piękny pułk pieszy i oddział artylerii konnej z szesnastu działami".

Wojsko spotkało się z dużym entuzjazmem ludności i przeżyło wspólnie z nią chwile głębokich wzruszeń patriotycznych podczas pogrzebu przywiezionych właśnie zwłok księcia Józefa, miejsca jednak dla żołnierzy w mieście, napchanym Moskalami, nie było i musiano koczować pod Marymontem. W dodatku początkowo nawet z żywnością dla tak małej ilości ludzi był kłopot. Podobnie miała się sytuacja w całym Księstwie — za przyczyną rosyjskich wojsk okupacyjnych. Generał Łabanow, dowodzący 80 tysięczną armią na terenie Księstwa Warszawskiego, otrzymawszy od cara rozkaz opuszczenia Księstwa, zwlekał z wykonaniem rozkazu od kwietnia do lipca, poczynając sobie ostro. Oddziały, ewakuujące się z Warszawy, podpaliły miasto, by upozorować rabunek ratowaniem zabudowań. Ogołocono całe Wielkie Księstwo.

Tymczasem wedle zamysłów cara nowe wojsko polskie ma być sformowane. Nowosilcow otrzymuje wyraźny rozkaz w tej sprawie — i wpada w furię: „na szło eb. boje wojsko polskie, kakoje duraczestwo"...

Pod przewodnictwem księcia Konstantego powstaje tzw. Komitet Wojskowy, złożony z wyższych oficerów, którzy oświadczają, iż „póki istność kraju ogłoszona nie będzie, to wszystko, co czynią, będzie tylko projektem". Konstanty zasadniczo się nie sprzeciwia, ale poza niejasnymi obietnicami, z konferencji wiedeńskiej, niczego nie przywozi. Wtedy generałowie Kniaziewicz, Wojczyński i Paszkowski biorą z wojska dymisję. Utorują oni drogę wielu oficerom, którzy, jak płk Gajewski, „widzą się wśród żywiołów zbyt sprzecznych z ich sposobem zapatrywania, by długo wytrzymać".

W wojsku wprowadzony zostaje odmienny od dotychczasowego regulamin, obowiązują nowe zasady i przepisy, wpajany jest w nie nowy obcy duch. „Książę Konstanty — pisze Niemcewicz w swoich „Pamiętnikach", które są jednym z najwierniejszych obrazów epoki — wprowadził krój mundurów, niewolniczą postawę, drobności moskiewskie w mustrze i obrotach, słowem chciał żywych, pełnych ducha ludzi naszych przemienić w wyprężone nieruchome machiny".

Najgłębsze rozgoryczenie wywołuje systematyczne zacieranie w wojsku wszelkich widocznych śladów polskości. W papierach urzędowych, w „patentach" oficerskich unika się najdrobniejszej wzmianki, która wskazywałaby na polski charakter wojska. Patenty oficerskie redagowane są krótko: „Imperator J. Mości mianuje was X. Y. pułkownikiem w pułku X. Y.".

Nowozaprowadzony system tajnej policji, wnikający we wszelkie dziedziny życia, jest nie do przyjęcia dla większości. Obraz nowych stosunków dosadnie kreśli pułkownik Gajewski: „...(przeszliśmy) nagle z wojska, gdzie honor i miłość wodza łączyły ścisłym ogniwem wszystkich ze sobą, gdzie żołnierz był prowadzony honorem i uważany jako człowiek, do służby, w której szpiegostwo wzajemne kolegów między sobą było systematem, gdzie nieuwolnicze posłuszeństwo i demoralizacja nałożyły dopawidłem wykształcenia, gdzie kije były bodźcem karności, gdzie kradzież była uważana jako cecha chytrości, gdzie guzik, porządnie nie zapięty, pociągał niemal za sobą karę śmierci...".

Nie mogąc pracować w tym systemie degradacji i upodlenia, w chwili nominacji Zajączka namiestnikiem Królestwa, wycofają się z życia publicznego do okresu powstania książe Czartoryski, generał Dąbrowski, Izydor Krasiński, Pac, Umiński, Chłopicki, Sierawski, Sierakowski.

Gen. Chłopicki

Spośród cywili uczynią to samo Małachowscy, Ostrowscy, Julian Ursyn Niemcewicz, kasztelan Sołtyk, senator wojewoda Piotr Bieliński.

Pozostaną na służbie reżymu: król karierowiczów Wincenty Krasiński, bohater obrony Zamościa Hauke, który straci przez to dobrą sławę, Rautenstrauch, jak zwykle łatwy do kupienia, szef bezpieczeństwa Różniecki — prawa ręka Nowosielcewa, Kurnatowski, Stanisław Potocki, niegdyś przyjaciel księcia Józefa, czyni zręczne „tourne dos", by żyć w świetnej komitywie z ks. Konstantym. Hertig, Jankowski i Blumer, byli żołnierze napoleońscy, swą skwapliwość w przystosowywaniu się do sytuacji, przypłacą rychło życiem. Nie odstraszy to jednak rzesz karierowiczów, którym zawsze jest śpieszno pod sztandary koniunktury, nawet po zmianie rządu w roku 1822 i po konferencji Aleksandra z Metternichem w Ottawie, od kiedy nowy kierunek polityki nie mógł nasuwać wątpliwości.

Jednym z pierwszych pociągnięć nowego rządu jest seria aresztowań, których ofiarami padają m. in. oficerowie: Dobrogoyski, Łukasiński, Dobrzycki. Książę Konstanty w wyrafinowany sposób długo pastwi się nad nimi, zanim ześle ich do Rosji. Celuje np. w wymyślaniu specjalnych klatek, w których każe trzymać więźniów. W następnym roku w związku z poszukiwaniem członków Towarzystwa Prawdziwych Synów Ojczyzny, których Rosja chce zlikwidować, następują aresztowania, które ogarniają podpułkownika (w powstaniu listopadowym generał) Prądzyńskiego, ppłk. Krzyżanowskiego itd.

Nie ostają się nawet te placówki, które do tej pory cieszyły się swobodą. Wymierzony zostaje cios prasie przez zamknięcie wychodzącego od r. 1815 „Orła Białego", redagowanego przez niepozbawionego zmysłu krytycznego Brunona Kicińskiego. W wojsku sytuacja opłakana nad wyraz.

Julian Ursyn Niemcewicz

Solidne napoleońskie stawki żołdu należą do wspomnień. Żołnierz bierze po 4 grosze polskie dziennie, co nie daje mu dużej przewagi nad urzędnikiem, który musi kraść, nie chcąc umrzeć z głodu. Polacy są z góry przeznaczeni na stanowiska podrzędne, „lub do walk z Czerkiesami", podczas gdy Rosjanie obejmują wyższe urzędy.

Na domiar złego żołnierz, spędzający czas głównie na placu parad, jest właściwie niedoszkolony. Niewyszkolonymi są oficerowie w stopniach generalskich. Tym Konstanty nie dał najmniejszej możności praktyki. Braki te wyjdą w powstaniu. Pomyśleć, że wszystko to dzieje się w czasie, gdy car, licząc się z możliwym użyciem armii polskiej, „wojskowość głaszcze"!

Horoskopy dla tej armii? Projekty na przyszłość? Mamy ich próbkę w lipcu 1830 r., gdy w czasie przewrotu we Francji i powstania w Belgii, car Mikołaj I, przygotowując „krucjatę" przeciwko państwom zachodnim, projektuje, by wojsko polskie stanowiło awangardę tej wyprawy. Wiemy, jakie bywają losy awangard...

Badając dzieje powstania listopadowego, które wybuchło w kilka miesięcy po owych ruchach rewolucyjnych na Zachodzie, przyjdzie uczynić bilans poprzednich szesnastu lat. Podsumowanie szesnastolecia właśnie w okresie powstania, które, jak każda wojna, było sprawdzianem wartości armii, jest tym bardziej słuszne, że powstanie 1830 r. jest w pewnej mierze ukoronowaniem „po-powrotogo" okresu.

A więc stanowisko wojska wobec samego faktu powstania nie jest jednolite. Jedne pułki stają posłusznie nakazom Komitetu Narodowego, inne wahają się; niektóre wezmą udział w działaniach wojennych, ale po stronie przeciwnej. Wojsko 1830 r. to już nie ten monolit ideowy, jaki w pewnym stopniu stanowiła armia wracająca przed szesnastu laty do kraju z Zachodu. To już twór nowy — zlepek wielu organizacji, zaprawiony elementem nowym i zupełnie różnym od owej armii która kilkanaście lat wcześniej powróciła do Polski. Wykoszlawiony przedziwnie twór Konstantego.

Polityka dowódców tego wojska, wodzów-„dyktatorów", jest chwiejna, niepewna i wyraźnie zabarwiona duchem kolaboracji. Chłopicki, Skrzynecki, Krukowiecki czy Wincenty Krasiński — wszyscy oni próbują w sposób mniej lub więcej wyraźny, współpracy z Rosją. Nie sprzyjają oni powstaniu i nie posiadają zaufania narodu. Nie są oni pod żadnym pozorem najlepszymi przedstawicielami armii, ani najgodniejszymi ludźmi, wysuniętymi na stanowiska czołowe. Trzeba pamiętać, że wielu dobrych, wartościowych oficerów odeszło z wojska grubo przed powstaniem w 1822, 1823 r. lub jeszcze wcześniej, kładąc tym samym kres swej karierze wojskowej.

Skutki polityki rosyjskiej wychodzą teraz na jaw. Brak ludzi najlepszych. Armia podminowana wpływami rosyjskimi nie może uniknąć tendencji ciążenia ku Wschodowi. Inna rzecz, że nie na konto uświadomienia i rozumu politycznego wojska policzyć można flirty generałów z Rosją. Chłopicki był to wojskowy bez głowy polityka, dający się wodzić Lubeckiemu. Skrzynecki politycznie był zerem. Krukowiecki był do tego stopnia ambitny, że nie cofał się przed żadnym środkiem — fałszem, podstępem, mordem czy zdradą. Wincenty Krasiński — to król oportunistów przez całe życie — „we wszystkich przygodach przychylny temu, co w obecnej chwili mocniejszy" wedle słów Niemcewicza.

Ważnym czynnikiem współpracy z Rosją byli raczej nie ci wodzowie, lecz był nim rząd, złożony z dawnych deputowanych, przychylnych Rosji, których Komitet Narodowy zatrzymał.

W każdym razie wojsko, które wracało z Zachodu do kraju „z rozwiniętymi sztandarami i bronią" w r. 1814, nie stało i nie mogło się stać narzędziem niepodległości.

HENRYK SWOLKIEŃ

JESTEŚMY NARODEM MUZYKALNYM

Z jakąż łatwością mówimy o sobie: „My Polacy jesteśmy mało muzykalni; biją nas pod tym względem inni, z wyjątkiem może nielicznych; właściwie, kto wie, czy nie jesteśmy narodem po prostu... niemuzykalnym?" Takie oto już niemal przysłowiowe stwierdzenia służą nam jakże często do odsądzania się od muzykalności. Trudno by tu jednak mówić o przysłowiowej mądrości, można raczej i trzeba o przysłowiowej skromności z jaką dość pochopnie lubimy umieszczać się w tyle za innymi. Skromności w tym wypadku nie chwalebnej a niewłaściwej i wręcz szkodliwej.

Nie trudno zaobserwować, że przy wypowiedziach na temat możliwości i osiągnięć poszczególnych narodów w dziedzinie sztuki formułuje się kategoryczne sądy uogólniające stosunkowo najłatwiej i najbardziej bezwzględnie właśnie w dziedzinie muzyki. Jeśli porównywanie, dajmy na to, osiągnięć w malarstwie Francuzów i Włochów, sprawić może komuś pewną trudność, a w każdym razie zmusić do zastanowienia, to ocenienie stopnia muzykalności tych narodów pozwoli mu zapewne z łatwością wypowiedzieć się na korzyść Włochów. Jeśli ktoś inny, zestawiając dorobek literacki Anglików i Niemców, przystąpi do wyciągnięcia wniosków z ostrożnością i rozwagą, to porównując muzykalność tych narodów zapewne bez chwili wahania uzna za znacznie mniej muzykalnych Anglosasów.

Te i podobne sądy, choć w dużej mierze niejednokrotnie słuszne, opierają się jednak, jak większość sądów zbyt uogólniających, nie na przesłankach wysnuwanych z przemyślenia faktów, a raczej na ułatwiającej i uproszczonej obserwacji. Są też odpowiednio do stopnia swej bezwzględności powierzchowne.

Rozniłowany w operze, śpiewający na ulicach Włoch, tańczący Hiszpan, wpadający nam swą muzykalnością już nie tylko w uszy, ale i w oczy. Każdy wie przy tym, że opera włoska i canzona neapolitańska podbiły świat, podobnie jak to się stało udziałem hiszpańskiego tanga, bolera czy pasodoble. Wiadomo również, że wiek XVIII i XIX przyniósł wspaniały rozkwit muzyki niemieckiej. Gdy jednak nieuprzedzony i bardziej wnikliwy słuchacz polski skorzysta ze sposobności pobytu za granicami ojczystego kraju i postara się zbliżyć do przejawów życia muzycznego obcych, dozna niejednokrotnie zaskoczenia graniczącego z rozczarowaniem. W audycjach niemieckich na przykład, razić go będą chłód i suchość wiążące się z akademicką dokładnością wykonania. Włoskie przedstawienie operowe urazi go przejaskrawionym patosem i zbytkiem koncesji na rzecz teatralności ze szkodą dla samej muzyki, każąc mu czę to zrewidować swój zbyt pochopnie ustalony stosunek do teatrów operowych w Polsce. Nie powinno go to jednak upoważniać do radykalniejszych zmian w ocenie istotnej muzykalności narodów.

Nie można jej bowiem rozpatrywać w oderwaniu od temperamentu, skłonności i zwyczajów cechujących dane narody. Mieszkaniec północy mniej jest skłonny do śpiewania na ulicach, kto wie, czy nie ograniczą się do śpiewania podczas nabożeństw psalmów, a przecież znaczenia muzyki skandynawskiej lekceważyć nie można. Kwestią temperamentu będzie tym bardziej zach wanie się słuchaczy podczas audycji. Nie wolno przeceniać znaczenia swobody, nieraz żywiołowości z jaką Włoch reaguje na muzykę, jak nie należy zbytnio polegać na układnym uwielbieniu niemieckich słuchaczy, którzy, według określenia pewnego poważnego Niemca, uwielbiają w sztuce przede wszystkim to, czego nie są w stanie pojąć.

Jeszcze bardziej skomplikuje się problem, gdy muzykalność narodów rozpatrywać będziemy według oceny ich twórczości na dłuższej przestrzeni dziejów. Jakże długą drogę musiały odbyć Niemcy od tacytowskiego „Germanus non cantat" (Germanin nie śpiewa) do Bacha i Beethovena. Drogę wiel wiekową, podczas której wcześniej już jaśniała muzyka francuska, włoska i angielska — tak, i angielska. O muzyce holenderskiej słyszymy dziś, powiedzmy oględnie, niewiele. A przecież muzyka europejska przeszła przez ważny okres tzw. szkół niderlandzkich. Gdy pierwsza połowa zeszłego stulecia jest triumfem muzyki niemieckiej, to w drugiej zyskuje coraz bardziej na znaczeniu muzyka francuska, która dziś wybija się na przodujące miejsce. Ileż to znowu zamieszania wkradą się w nasze tak wygodnie przyjęte schematy!

Jak zatem widać, w miarę zapuszczania się w porównawcze rozważania nad muzykalnością narodów, zagadnienie się komplikuje, a samo pojęcie muzykalności staje się coraz trudniejsze do uchwycenia i sprowadzenia do prostych, jednoznacznych przesłanek. Jest to też bowiem pojęcie złożone i wieloznaczne.

Gdy w życiu codziennym próbujemy określić stopień muzykalności już nie narodu, a pojedyńczego osobnika, to i tu wieloznaczność tego pojęcia uwidacznia się z całą siłą. Bez wątpienia uznamy za muzykalnego osobnika obdarzonego dobrym słuchem, pamięcią muzyczną, zdolnościami do gry na instrumentach często bez nauki, czyli, jak mówimy — obdarzonego muzykalnością wrodzoną. Czy można jednak nie uznać muzykalności nabytej na drodze świadomego wysiłku? Czy wreszcie zasługuje na miano niemuzykalnego człowiek nie odznaczający się ani zdolnościami, ani umiejętnościami muzycznymi, lecz garnący się do muzyki i wyznaczający jej w swym życiu miejsce poczesne i niezbędne?

Nie wdając się zatem w dalsze dociekania nad istotą muzykalności, spróbujmy przyjąć za wystarczające dla jej badania następujące kryteria: 1. uzdolnienia, 2. dorobek twórczy, 3. powszechną kulturę muzyczną, przez którą rozumieć tu będziemy rolę muzyki w życiu narodów, jej jakość i poziom odtwórczy. Dopiero jednoczesne zastosowanie tych kryteriów dać może obraz muzykalności narodu.

Dorobek twórczy to przede wszystkim dzieło jednostek wybitnie uzdolnionych, które rodzą się niekiedy tak niespodziewanie, jak geniusz Chopina wybłyskujący nagle na tle zaściapnego świata ówczesnej Warszawy, czy wykwitająca w małym, krępowanym przez cenzurę, partykularzu wileńskim, pieśń Moniuszki. Istotniejszy przy ocenie wydaje się być stan kultury muzycznej narodu, potrzeba muzyki, stosunek do twórców i wykonawców. Jakże znamiennym faktem jest uderzający kult dla muzyki w społeczeństwie angielskim. Nazwiska najgłośniejszych twórców innych narodów wiążą się z Anglią, która ich do siebie zapraszała, obsypywała zaszczytami, a co ważniejsze umożliwiała im wystawianie swych utworów pobudzając ich przytem do dalszej twórczości. Haendel, największy ze współczesnych Bachowi muzyków, prędko poczuł się w Anglii jak w drugiej ojczyźnie, tu stworzył największe swe dzieła i jest dziś właściwie pozycją w historii muzyki angielskiej. Haydn, obdarzony godnością, nie tak znowu podówczas zbyt często udzielaną, honorowego doktora uniwersytetu Oxfordzkiego, tu właśnie, na specjalne zamówienie napisał dwanaście sławnych symfonii londyńskich. A któż to, jak nie Londyńskie Towarzystwo Filharmonicznie wspomogło Beethovena, umierającego w Wiedniu na progu nędzy, choć u szczytu sławy? I nasz Chopin doznał tu w ostatnim roku życia gościny, połączonej z wydaniem jego dzieł i wydatną w okresie choroby pomocą finansową. Warto też zaznaczyć, że ci sami „niemuzykalni" Anglicy posiadają dziś najlepsze w Europie orkiestry i chóry.

A jakie są tytuły do uznania muzykalności Polaków? Odpowiadamy zdecydowanie: poważne i liczne. Nie brak nam nie tylko uzdolnionych jednostek, lecz i talentów pierwszorzędnej miary na szerokiej przestrzeni naszych dziejów, choć o tym na ogół mało wiemy. Wystarczy, że rozluźnią się nieco więzy ucisku politycznego i otworzy na progu obecnego stulecia swe podwoje Filharmonia Warszawska, dająca muzykom polskim ze stuletnim co najmniej opóźnieniem, stałą instytucję koncertową, a w przeciągu lat kilku powstaje niemal z niczego symfoniczna muzyka polska o wartościach pierwszorzędnych, uznanych przez świat cały. Gdy następnie opadają więzy niewoli, krzewi się ona bujnie dalej, mimo szeregu trudności zawinionych i niezawinionych.

Wśród solistów-wirtuozów nie brak nigdy Polaków jako gwiazd pierwszej wielkości. W ogóle muzyk polski wybija się przede wszystkim tam, gdzie nie czuje się skrępowany współzależnością, koniecznością podporządkowania. Dlatego też, być może, dawał się zauważyć brak wytrwałej pracy nad uzdolnieniami muzycznymi w Polsce, zmuszającej do czasowej przynajmniej rezygnacji z umiarkowanej nawet ambicji podkreślania swej indywidualności. Z tych samych względów pozostawaliśmy nieco w tyle jeśli chodzi o muzykę zespołową, chóralną czy orkiestrową. Zespół nie może bowiem składać się z samych indywidualistów, a jednoczy wykonawców w całość (i tu właśnie leży ogromne znaczenie uspołeczniające muzyki), posłuszną intencjom artystycznym kierownika.

Najwspanialszym skarbem, najpełniejszym dowodem bogactwa polskiej kultury muzycznej jest jednak twórczość ludowa, a ściślej — narodowa, gdyż współdziałały w niej na przestrzeni stuleci wieś, dwór, szkoła, wojsko i miasto. Twórczość ta zadziwia ilością, różnorodnością, bogactwem pomysłów melodyjnych i jest niewyczerpanym źródłem natchnień naszych i obcych twórców. Szereg polskich rytmów tanecznych przeniknęło do muzyki Zachodu. Już na kilka wieków przed Chopinem, polonez wszedł w skład suity instrumentalnej, a liczni kompozytorzy z Bachem na czele chętnie pisywali w rytmie „alla polacca".

Od twórczości ludowej jeden krok tylko do niezmiernie ciekawego zjawiska w życiu każdego narodu, jakim są tzw. zwyczaje muzyczne. Zwyczaj muzyczny, to uświęcone tradycją uciekanie się do pieśni czy muzyki instrumentalnej w różnych powtarzających się okolicznościach życia zbiorowego. Ma te zwyczaje oczywiście każdy naród, rzecz w tym, że polski ma ich szczególnie wiele i jest to nawet zdaniem, między innymi prof. Rutkowskiego, najwymowniejszym dowodem stopnia przeniknięcia życia polskiego przez muzykę, a tym samym — muzykalności Polaków.

Cóż bardziej naturalnego, jak odśpiewanie przy apelu porannym pieśni „Kiedy ranne wstają zorze"? Jest to oczywiście modlitwa, ale jest to też... zwyczaj muzyczny. Hejnał krakowski z wieży Mariackiej stanowi, jako zwyczaj muzyczny, powszechne dobro całego narodu. Nie sądźmy, że wszędzie u innych dzień pracy żołnierza regulowała trąbka, wygrywająca melodyjne hasła na pobudkę, capstrzyk, objęcie warty, alarm, itp. A zwyczaj capstrzyków orkiestrowych w wigilię uroczystości? A tyle znanych wszystkim pieśni, związanych z życiem rodzinnym, towarzyskim, cechowym, szkolnym, politycznym od „Roty" i „Warszawianki" aż do „Stu lat" przy wznoszeniu toastów?

Wystarczy odwiedzić kilkakrotnie kościoły włoskie podczas nabożeństw niedzielnych, aby przekonać się o ile większą rolę odgrywały śpiew i muzyka organowa u nas w Kraju. Ileż przy tej okazji śpiewało się tam oryginalnych, wszystkim znanych pieśni, dostosowanych do świąt i uroczystości. A kolędy, których na pewno nikt policzyć nie zdoła (w Niemczech śpiewa się... jedną, choć są bardziej i mniej znane, o tak szerokiej skali nastroju, treści, wśród których jest wiele muzycznie najbardziej wartościowych. Powie ktoś, że to raczej manifestacja uczuć religijnych. No dobrze, ale jeśli uczucia te wypowiadają się szeroko i powszechnie pięknymi środkami muzycznymi, czy nie jest to zarazem manifestacja muzykalności?

W każdej potrzebie, w najcięższych chwilach historycznych, Polak odczuwa potrzebę pieśni i tę pieśń sobie tworzy. Powstaje ich wtedy wiele, rzecz jasna, że z upływem lat utrzymują się tylko najwartościowsze. W tak ciężkich chwilach, jak przeżycia obecnej wojny, powstawały pieśni wszędzie tam, gdzie znaleźli się Polacy. W Kraju w okresie konspiracji i powstania napisano podobno 200 pieśni, z których przyjęło się około setki.

Nie gromadźmy dalszych dowodów. Przytoczone mówią za siebie z wystarczającą siłą. Życie polskie jest w dużym stopniu przeniknięte potrzebą muzyki i tworzy sobie pieśni na wysokim poziomie artystycznym.

Na zakończenie zwracamy uwagę sceptyków, że o ile my, Polacy, oceniamy zazwyczaj surowo naszą muzykalność, o tyle cudzoziemców uderza nasza duża wrażliwość muzyczna, no, a im bardziej poznają muzykę polską, tym bardziej uczą się ją cenić. Kogo z nas zresztą nie zadawala poziom naszej muzykalności, niech pracuje nad jego podniesieniem, zaczynając od siebie. Nie wolno mu tylko nie uznawać prawdy, że **jesteśmy narodem muzykalnym**.

Zbójnicki — Metaloplastyka Edwarda Matuszczaka

CYPRIAN NORWID

JESIEŃ

O, ciernie deptać znośniej i z ochotą
Na dzid iść kły,
Niż błoto deptać, ile z łez to błoto,
A z westchnień mgły.

Tęczami pierwej niechże w niebo spłyną
Po złotszy świt,
Niech chorągwiami wrócą, a z nowiną
Na całokwit.

Bo ciernie deptać słodziej i z ochotą
Na dzid iść kły,
Niż błoto deptać, ile z łez to błoto,
A z westchnień mgły...

Paryż 1849.

KAROLINA LANCKOROŃSKA

ZE WSPOMNIEŃ O ROMANIE DYBOSKIM

Z chwilą śmierci człowieka, wszystko co w ciągu życia wydawać się mogło płynnym, tężeje do kształtów już stałych, a kontury jego sylwety stają się zupełnie wyraźne. Z dystansem, jaki od tej chwili powstaje między nim a nami, zyskujemy świadomość jasną, co w człowieku, który odszedł, było, lub raczej jest istotne, co po sobie zostawił.

1 czerwca umarł w Krakowie Roman Dyboski, profesor literatury angielskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odszedł nagle, powstała pustka straszliwa. Na to jednak aby taką pustkę po sobie zostawić, trzeba było takiej osobistości, a za to, że człowiek tej miary był między nami, należy się głęboka i radosna wdzięczność tak ze strony społeczeństwa, któremu służył, jak i ze strony tych, którzy mieli szczęście osobistego z nim kontaku.

Silna indywidualność zwykle najsilniej się wyraża w swej pracy, jeśli wybór zawodu nastąpił nie z przypadku ale z wewnętrznej konieczności. Roman Dyboski był jednym z najwybitniejszych anglistów naszej doby, — pisał o nim swego czasu Uniwersytet Oxfordski, że włada językiem angielskim lepiej od Conrada — ale Dyboski znał nie tylko język i literaturę jak nikt w Polsce, i mało kto poza nią, lecz przede wszystkim rozumiał ducha kultury angielskiej. Natura jego, usposobienie własne, predestynowało go do wniknięcia głębokiego w duszę Anglii. Trzy bardzo charakterystyczne cechy brytyjskie znajdowały silne echo pokrewieństwa w Dyboskim. Pierwsze to humor, pojęty jako forma swoista wyrażania rzeczy ważnych, poważnych, nieraz bolesnych w sposób, który nie rani a nawet nie razi, a tym większe robi wrażenie. Drugą cechą, nierozerwalnie z pierwszą związaną, to umiar, niechęć do wszelkiej krańcowości, do przesady, pociąg do wszystkiego co klasyczne. Trzecią, a najważniejszą właściwością, która zbliżała Dyboskiego do Anglików to prostota, decydująca o poziomie moralnym stosunków między ludźmi, oraz o stosunku ludzi do wielkich spraw. Prawdziwa prostota bowiem zawiera w sobie i bezpośredniość zupełną i najwyższą moralność. Ale literatura angielska ma i cechy inne, które w życiu codziennym tego narodu występują rzadziej, tak jakby się Anglicy wstydzili do nich przyznać, lub raczej jakby nie chcieli żeby im spowszedniały... Jest to przede wszystkim olbrzymi polot ducha i bardzo bogata wyobraźnia. To jest to drugie oblicze Anglii, Anglii Shakespeare'a, Raleigh'a, Anglii wielkiej liryki XIX. w... Tę Anglię, która niegdyś Kasprowicza natchnęła do twórczych tłumaczeń, znał Roman Dyboski równie dobrze, i szczególnie dobrze ją rozumiał, odpowiadała ona wybitnie polskim cechom jego ducha.

Raz w bardzo ponurych dniach sierpnia 1940 r. w okresie bitwy o Wielką Brytanię, zdecydowałam się pójść do Profesora Dyboskiego, i poprosić go o wskazanie mi nauczyciela języka angielskiego. Byłam bardzo wdzięczna, lecz i trochę przerażona, gdy mi oświadczył że mi sam chętnie lekcyj udzieli. Od tego dnia ch dziłam do niego regularnie i przynosiłam mu z strachem godnym lat znacznie młodszych, karkołomne ćwiczenia stylistyczne, które mi zadawał, a których błędy poprawiał z cierpliwością iście anielską.

Ale ten groźny typ lekcyj miał się skończyć z owym dniem, w którym Profesor dał mi przypadkiem w czasie nauki wiersz Tennysona do przeczytania. Nastąpiła dyskusja o tym wierszu, podczas której miałam wrażenie, że rozmawiam po raz pierwszy z Romanem Dyboskim, bo się ludzi dopiero poznaje w chwilach, w których robią to, co dla nich jest najbardziej istotne. A jemu dane było najwyż ze szczęście nauczyciela, który tłumacząc arcydzieła ducha ludzkiego drugim, może pośredniczyć w ich zrozumieniu i przy tym formułował własny pogląd idealistyczny, dając drugiemu udział w tym, z czego sam czerpie szczęście i wiarę w życie.

Od tego dnia „lekcje" nasze polegały na czytaniu i omawianiu poezji angielskiej, i nie tylko poezji ale i kultury angloszaskiej, łacińskiej, greckiej, niemieckiej, francuskiej, włoskiej i przede wszystkim polskiej. Bo wiedział Dyboski, że każde, nawet największe arcydzieło zrozumiane być może tylko jako część olbrzymiego gmachu kultury, który sobie duch zbudował. Wiedział i uczył przykładem własnym, że tylko ten jest humanistą w prawdziwym tego słowa znaczeniu, znawcą dziejów ducha ludzkiego, który myślą stara się odtworzyć w sobie cały ten gmach ogromny, jak architekt, a nie zbierać astronomiczną ilość martwych wiadomości, jak kolekcjoner znaczków pocztowych. A erudycję posiadał przy tym i głęboką i szeroką, bo i pamięć miał rzadką, i horyzont, który nie znał ograniczeń fachowych.

Dla mnie, której ówczesne zajęcia codzienne były bardzo od tego wszystkiego dalekie, godziny spędzone na ulicy Krowoderskiej, w pokoju, w którym książki po sufit wokół sięgały, są bezprzecznie najpiękniejszym wspomnieniem z sześciu lat wojny.

Ośrodkiem wszystkich myśli Profesora oczywiście była Polska. Kulturę jej pojmował, jako część integralną i swoistą kultury Zachodu, a obowiązek swój wobec Niej — być łącznikiem między Nią a krajami anglosaskimi. Uprzystępnić Polakom skarby ducha i kultury Anglii i Ameryki, słowem, pismem, pięknym nawet tłumaczeniem wierszy, a krajom łamym mówić o Polsce, i o jej prawie przynależności do Zachodu, o jej udziale w jego kulturze, to był olbrzymi program życiowy Dyboskiego, pojęty jako posłannictwo. Przygotowywał się do wielkich zadań, jakie go po wojnie czekały, wzywał drugich do udziału mu pomocy w tej pracy. Był pewny, że jedną z największych trudności, jaką będzie trzeba pokonać to będzie trudność wytłumaczenia Anglosasom kim stali się Niemcy i co Polska pod okupacją przeżyła, jakich nowych praw i tytułów w tej walce o najwyższe dobra ludzkości nabyła. „Oni których podstawą bytu moralnego i fizycznego jest pojęcie o wolności i godności człowieka, oni przecież tego nigdy nie zrozumieją, co tu z nami robi naród Goethe'go!" A Goethe'go znał doskonale i czytywał go ciągle, jakby się chciał upewnić, że jego dzieła istnieją nadal, pomimo wszystko.... Z niepokojem ogromnym patrzył na Wschód, który bynajmniej nie był obcy jego intelektowi — spędził w Rosji siedem lat życia jako jeniec wojenny. Lecz jego humanistycznej duszy pozostał zupełnie daleki.

Przyznać trzeba, że lekcje te były osobliwe. Profesor oświadczył mi pewnego dnia, że mi zwraca bajalnie uwagę, iż się w ten sposób nigdy nie nauczę pisać po angielsku, o co go przy pierwszej wizycie prosiłam. Dodał zaś zaraz, m, ku wielkiej mojej radości, że ta wspólna lektura jest dla niego pociechą, właśnie w owych chwilach, w których decydowały się losy Wielkiej Brytanii, — i zdawało się, że się decydują i nasze. Przepisywał dla mnie wiersze, które uważał za najpiękniejsze, abym się ich mogła nauczyć na pamięć. Sam bowiem deklamował i cytował na pamięć ilość utworów nieprawdopodobną we wszystkich językach, i uważał słusznie że wiersza nie zna, kto go na pamięć nie umie. Nie przypuszczaliśmy wówczas obaj, czym ten wielki zapas sił moralnych miał się stać w późniejszych latach w więzieniu i w obozie, dla mnie i dla moich towarzyszek. W Ravensbrucck kursowały wiersze angielskie, przenisane przezemni z pamięci, dzięki Dyboskiemu.

Ile razy sobie wyobrażałam, jak gorąco mu kiedyś za to podziękuję, o ile wyjdę z życiem. Nie myślałam, że to nastąpi, lec mniej jeszcze przypuszczałam, że mi przyjdzie Romanowi Dyboskiemu już tylko podziękować w wspomnieniu pośmiertnym!

Jeśli prawdę mówi powiedzenie angielski, że człowiek zabiera z sobą tylko to, co szczodrze za życia rozdawał, to śp. Roman Dyboski zabiera z sobą uczucia naszego i przywiązania niezmiernie wiele.

A cóż po sobie zostawił? Dużą ilość pięknych książek polskich i zawrotną liczbę artykułów o literaturze angielskiej, oraz szereg angielskich prac o Polsce. I coś więcej jeszcze: Imię jego pozostanie jako nowe potężne ogniwo w długim łańcuchu imion Humanistów Polskich, wiążącym nas nierozerwalnie z kulturą Zachodu.

BARBARA TOPORSKA

Raj utracony

Nie wierzcie ludziom, ktorzy tłumaczą czułością serca to, że nie lubią kanarków w klatkach, psów, prowadzonych na smyczy, złotych rybek w akwarium. Nie ten kocha zwierzęta, kto się ich poznać wzbrania, a ten, co je hoduje, obserwuje, współżyje z nimi. Nie wierzcie kobietom, które, wskazując na puste wazony, mówią, że im żal kwiatów ciętych. To są banały, wpychane na miejsce pustki, a nie jest dobrze, gdy się cokolwiek próbuje zastąpić banałem. Kłamstwo posiada zwykle swój jakiś sens. Zakłamanie-żadnego. Jest pozą.

Oczywiście wśród publiki, odwiedzającej Zoo, zwłaszcza w niedzielne popołudnia jest wielu takich, którzy by z jeszcze większą przyjemnością zamiast krokodyla oglądali dwugłowe cielę w panopticum. Są to ludzie, którzy czytają gazety dla kroniki kryminalnej, dla których jedynym znanym elementem rozrywki jest sensacja — ludzie biednego życia i biednych gustów. I dlatego, choć drażnią przed klatkami nie tylko zwierzęta, trzeba być dla nich wyrozumiałym. Zresztą, cóż pewnego wie człowiek o człowieku? Przed klatką z małpami wygłupiało się dwuch małych oberwańców, bijąc pięściami w pręty, gwiżdżąc, oszukując, zawiniętym w papierek kamykiem, łakome zwierzęta, klasyczni źli chłopcy, tacy, co to wybierają młode z gniazd, bezmyślnie łamią drzewa w sadach, słowem, młodociani przestępcy od niekaralnych sądem zbrodni. Otworzyłam torebkę z kasztanami, pokazując na migi, by dali jeśli małpkom. Zrobili to bardzo chętnie. Ponieważ nie mam zbyt celnej ręki w rzucaniu bułek przez pręty, dalszą wędrówkę odbywaliśmy razem. Moi towarzysze zmienili się w najtypowsze grzeczne dzieci, tylko trochę brudne. Po prostu było im przyjemniej karmić zwierzęta niż drażnić zwierzęta. Ale ta przyjemność drożej kosztuje: trzeba mieć chleb niedojedzony i pieczone kasztany. Aby nie wpaść jednak w banał, dodaś muszę, że moi przyjaciele po dwugodzinnej znajomości świnęli mi paczkę papierosów, siatkę i rękawiczki. Tymniemniej mi się zdaje, że o wiele przyjemniej jest rozdawać prezenty niż kraść. A zresztą: czy ja wiem?

■

Jeżeli będąc ludźmi i znając ludzi, tak mało o nich w gruncie wiemy, że wiele książek, które przecie wszystkie o ludziach traktują, wydaje się nam sensacyjnymi rewelacjami, cóż wiedzieć możemy o zwierzętach? Ze kochał je św. Franciszek z Assyżu? Ze prof. Marian Zdziechowski, wielki uczony polski, nazywał je młodszymi braćmi? Co myśli, co może myśleć ta czarna pantera, gdy tak mruży oczy, leży jak sfinks i tylko kołczyk jej ogona, malutki kończyk długiego ogona, porusza się w prawo-w lewo-w prawo-w lewo? Za szkłem berlińskiego, słynnego akwarium widziałam ogromnego węża; tuż-tuż przy moich oczach jego straszne, szklane, wodniste, zielone oczy, oczy olbrzymie, upierne, oczy... stwierdzam: żaden malarz na świecie nie potrafi wykrzesać na płotnie takich oczu szatana. Cóż wobec ich upiornej głębi — myślałam — znaczy Adolf Hitler ze swymi przejściowymi zbrodniami?

Wielki Niemiec Alfred Brehm napisał zwierzęcą biblię: „Życie Zwierząt". Doczekała się tłumaczeń na wszystkie języki. Wzrastały pokolenia odkad grube, w ozdobnym wydaniu tomy, tkwiły za szybą księgarskich wystaw. Uzupełniali je po niejsi zoologowie, dodawali coraz to nowe spostrzeżenia. Cóż z tego? Czy na podstawie tamtejszych opowieści wnioskować możemy, co czuły krokodyle wyrzucone podmuchem bomby na ulicę? Kogo obwiniał niedźwiedź polarny, gdy mu odłamek zgruchotał łapę?

Każde Zoo wydaje mi się w sposób następujący być odgrodzone ode mnie: najpierw jest krata, a za nią postać zwierzęcia; poźniej kurtyna, a za nią — tajemnica wewnętrznego życia. Mnie się wydaje, że tylko ludzie nieinteligentni patrzeć mogą na zoo, jak na rozrywkę i to rozrywkę dla małoletnich wiekiem lub umysłem.

Spójrzcie na tego ptaka kiwi, na jego łapy. Albo na tego marabata. Zresztą na samego słonia. Toż przecie potwory. Wieki idą a one wciąż trwają. I poco były te potwory potrzebne? No tak, można stawiać wszelakie pytania: a poco była potrzebna bomba atomowa?

Spójrzcie na tukana, na papugi, na rajskie ptaki: i po co im te kolory? Dobór płciowy — odpowiedział Darwin, ale nie rozwiązał tym zagadki. Jak będzie wyglądał ten rok, ten dzień, w którym urodzi się ostatni na świecie lew?

Lwy w Zoo rzymskim nie mieszkają w klatce, a nowoczesnym sposobem za fosą takiej właśnie szerokości, której przeskoczyć nie są w stanie. Nie widzi się ich też przez kratę, a bezpośrednio. Mają tam wodę, skały, wokół palmy, zieloność, przestrzeń dla oka. Tylko własne ich przestrzeń jest znikoma. Lwica ma zwyczaj chodzić na odcinku trzech metrów, z głową zwróconą do skały, monotonnym, tępym wahadłowym ruchem, tam i napowrót. Bezkrytycznemu obserwatorowi wydać się może, że od takiego ruchu dostaje się kołowaciny, albo utraty zmysłów. A mnie się zdaje (założywszy, że jestem obserwatorką krytyczną) że ona tylko poprostu: chodzi. W tym chodzeniu jest właśnie cały sens. Możemy obserwować w Rzymie, naprzykład, pięknym, słonecznym mieście, że są w nim strasznie stare, ciemne domy. W tych domach są mieszkanka, do których często rok okrągły nie dociera światło. W tych mieszkaniach mieszkają ludzie, a pomiędzy nimi są tacy, którzy się kręcą w kółko, w tym zaułku, w tym podwórku, w tej ponurej, wilgotnej kanurze, haudlując starzyzną, meblami, winem, rybami. Wciąż w kółko i jedno i to samo w takiej obskurze, że nietoperz by się wstydził tam zalatywać. A wokół świat szeroki, daleki, słoneczny. — Muflony mają skały sztuczne. Wbiegają na nie i stoją jak posągi, wpatrzone w dal. Liście platanów opadają na ich rogi, na karki. Pięknie tam jest. Nie zamieniłabym klatki muflonów na podwórko przy Vicolo san Nicolo da Tolentino z jego kałużami rozlanej benzyny.

Wolność? No, tak wolność jest prawem najjaśniejszym, darem bezcennym. Ale spróbuj powiedzieć tej zgrzybiałej kobiecie, która jednak nie ma wiele ponad lat czterdzieści, a tak tylko przez psie życie sczezła, spróbuj jej powiedzieć, że jest przecież wolna, niech plunie w tył za siebie na to i tak zaplute podwórko, i idzie w piękny wolny świat?

■

— Niech pani idzie ze mną-zapraszam przygodną znajomą-pójdziemy do Zoo.

— Nie mogę, — odpowiada — Dwa lata, spędzone w Majdanku i Rawensbruk przyprawiły mnie o psychiczny uraz, jeśli chodzi o druty, ogrodzenia, kraty.

— Niech pani idzie ze mną — namawiam — pokażę pani ogród rajski.

Bo właśnie w raju było tak, o ile wierzyć w biblijne opowiadania i biblijne obrazki. Słońce, palmy, górą błękitne niebo, a w zielonym ogrodzie wszystkie pospołu zwierzęta, które rozbiegły się potem po świecie. Przed zagrodą lwów zatrzymuje się znudzona mama z ciekawym chłopczykiem.

— Cho mangia? — pyta synek.

— Persone... carne... — odpowiada mama.

Nie przypominam sobie, czy oglądając w dzieciństwie kolorowy wizerunek raju, na którym drzemie, lew obok skaczącego jelenia, przyszło mi kiedy rozsądne pytanie na usta, czym się wówczas żywiły mięsożerne zwierzęta. Bestje. Nie trawą chyba? I co się w takim wypadku odpowiada dzieciom? W każdym razie Zoo jest raczej próbą odtworzenia obrazu raju utraconego, niż obozem koncentracyjnym. Lew drzemie w słońcu, a jeleń biega obok za długim ogrodzeniem. Raj utracony, czyli raj z systemem bezpieczeństwa. Inaczejby lew zjadłby sarnę, małpa wyskubała pawie ogony, a łzawookie gazele nie biegłyby z zaufaniem do wyciągniętej ręki z chlebem. Czy krzywdą jest dla tych zwierząt, że się wzajemnie nie mogą pożreć? Pozatym dzieje się, jak z prywatnymi losami ludzi: jednym jest gorzej, drugim lepiej.

■

Pisząc o raju utraconym, o raju z systemem bezpieczeństwa, nie miałam żadnych ubocznych alegoryczności w zanadrzu. Chciałam jedynie zachęcić tym feljetonem czytelników, którzy kiedykolwiek będą w Rzymie, by oprócz ruin, muzeów i kościołów odwiedzili tutejsze, śliczne Zoo. Dobrze jest mieć przytem w kieszeni trochę kasztanów, fistaszków, czy skórek od chleba. I jest tam bury niedźwiedź, któremu bardzo smakują jabłka. Chciałam także odnaleźć właściwy stosunek między człowiekiem przed kratą i zwierzęciem za kratą. Ale to jest trudne — sprawy ludzkie i wilcze są równie zawiłe.

Rysunki K. Domańskiej

BEATA OBERTYŃSKA

LWICA

Kiedyś — upalnej przestrzeni władczyni.
Dziś — od lat krat niewolnica...
Jak wór piasku, na płasko
rozgładzona snu łaską,
śpi na boku, nad łap wyciągnięciem...
... Wydma płowej pustyni
na wilgotnym cemencie
— lwica.

NA MARGINESIE KSIĄŻKI

„Sprawiedliwość Sowiecka"*)

Sprawiedliwość sowiecka jest dzisiaj niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących tematów, przede wszystkim dlatego, że na tle wypadków ostatniej wojny zachwiało się przekonanie włączone zachodowi przez propagandę sowiecką, jakoby sprawiedliwość ta była istotnie „słuszną" i odpowiadającą wzorom i zdobyczom zachodu. Dlatego dobrze postąpił autor zaczynając od omówienia podstaw sprawiedliwości zachodnio-europejskiej. Zasady te omówił autor w sposób jasny, a w szczególności przedstawiając je starał się uczynić to w sposób, któryby uwypuklił zarówno prawdziwą na zachodzie niezawisłość sędziowską, oraz zasadnicze instytucje prawa karnego zachodniego. Szkode jedynie, że nie pokusił się on o szczegółowe przedstawienie prawa zachodniego w jego zasadniczych podstawach — prawu sowieckiemu i, że nie postarał się, by jednocześnie dać odpowiedni rzut oka na polskie prawo karne, obowiązujące w latach 1918-1939. W szczególności należało podkreślić, że sędziowie byli mianowani przez Prezydenta R. P. spośród kandydatów wskazanych przez ogólne zebranie sędziów, że prokurator mógł domagać się od swego przełożonego zwolnienia go od popierania oskarżenia w sprawie, w której zajmował stanowisko odmienne. Nie należało też pominąć przepisy k.p.k. określające instancje sądowe, oraz stwierdzające wyraźnie zasadę prawdy materialnej, a w końcu szczególny przepis k.p.k. rzadki nawet w prawie zachodnio-europejskim, że przyznanie się oskarżonego mogło stanowić podstawę wyroku skazującego tylko wówczas, gdy nie budziło żadnych wątpliwości.

Byłoby wskazane także omówienie organizacji niezależnej polskiej palestry i przeciwstawienie jej upaństwowionej palestrze sowieckiej.

Poruszając zasadę podziału przestępstw na ścigane z urzędu i skargowe prywatne należało jednocześnie omówić dotyczące przepisy polskiego k.p.k. ze szczególnym podkreśleniem, że k.p.k. w Polsce pozwalał pokrzywdzonemu samodzielnie wnosić i popierać oskarżenie wówczas, gdy prokurator od popierania oskarżenia odstąpił, lub oskarżenia nie wniósł.

Na tle zasady humanitaryzmu jako podstawy prawa karnego zachodniego, oraz zasady odpowiedzialności osobistej i zasady „nullum crimen sine lege", należał szczegółowo omówić zasadę subiektywizmu — najbardziej konsekwentnie przeprowadzoną w polskim prawie karnym. Polscy ustawodawcy zasadę tę przeprowadzili w sposób, który polski k.k. stawia na pierwszym miejscu wśród k.k. będących wyrazem kultury i cywilizacji.

Przeciwstawienie polskiego k.k. — k.k. sowieckiemu było konieczne.

O ile zatem pierwszą część pracy wykazuje, moim zdaniem, lukę przez pominięcie polskiego k.k. — o tyle znowu, o ile chodzi o ogólne zasady prawa karnego zachodniego — autor zadanie swe zasadniczo spełnił. Na tle prawa zachodniego dał dobry obraz prawa sowieckiego.

■

Relatywizm i terroryzm jako podstawy sprawiedliwości sowieckiej i bolszewickiego porządku społecznego — zostały słusznie przez autora omówione na pierwszym miejscu w dziale „Zasady sowieckiego wymiaru sprawiedliwości". Słusznie i trafnie zasady te przeciwstawia autor zasadom prawa rzymskiego. Te ostatnie bowiem zostały przejęte przez nowożytne kodeksy karne i konsekwentnie w nich przeprowadzone. W szczególności przeciwstawiając sowieckiemu wymiarowi sprawiedliwości zasady nowożytnych kodeksów karnych stwierdzić należało, że podstawową zasadą zachodnich ustawodawstw karnych — jest jak najdalej idące pogłębienie zasady odpowiedzialności zarówno w kierunku subiektywizmu jak i indywidualizmu podczas gdy relatywizm stanowiący podstawę sowieckiej sprawiedliwości wyraża się w zupełnym podporządkowaniu sądu interesom proletariatu i pracującego włościaństwa. Dlatego też o ile w nowożytnych kodeksach karnych tak materialnych, jak i formalnych sprawca może być pociągnięty do odpowiedzialności tylko wówczas, gdy czyn jego będzie można zapisać mu na rachunek jego woli i gdy nie tylko wskazany zostanie sam fakt spełnienia czynu, lecz również związek przyczynowy pomiędzy spełnionym czynem a wolą sprawcy, przy czym obowiązek przeprowadzenia dowodu ciąży wyłącznie na oskarżycielu — o tyle znowu w systemie sowieckiej sprawiedliwości decydujący jest moment samego tylko narażenia interesów proletariatu a w związku z tym, odrzucając w całej rozciągłości zasadę subiektywizmu, nie przeprowadza nawet zasady obiektywizmu, a ciężar dowodu przerzuca się na oskarżonego. Stąd też — co autor słusznie podkreślił — sprawca musi się przyznać do winy, gdyż każdy postawiony mu zarzut znajdując uzasadnienie w działalności sprawcy nawet najbardziej niewinnej.

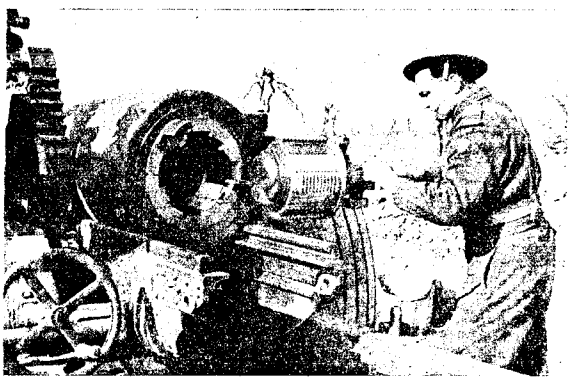

fot. K. Hrynkiewicz

Czyszczenie zamka działa ciężkiej artylerii

Wyjątki niektórych dyspozycji sowieckiego materialnego prawa karnego potwierdzają powyższe stanowisko autora.

Zachodnie prawodawstwo karne określa stany faktyczne przestępstw w sposób, który nie może pozostawiać wątpliwości zarówno co do przedmiotowych, jak i podmiotowych warunków odpowiedzialności. Nowożytne kodeksy karne operują przede wszystkim formą przestępstwa dokonanego i usiłowanego, przy czym najniższą dolną granicą jest czynność przygotowawcza, lecz jedynie w bardzo nielicznych wypadkach z tym jednak, że momentem decydującym jest nie interes państwa, lecz stopień niebezpieczeństwa zagrażającego porządkowi prawnemu. Tylko ten moment pozwolił ustawodawcy do wyjścia poza usiłowania, przy czym i w tym wypadku ustawodawca zachodni nie zapomniał, że stan faktyczny tak skontruowanej formy przestępstwa musi określać jego przedmiotowe i podmiotowe warunki.

Ustawodawca sowiecki natomiast odrzucając zakaz analogii w prawie karnym — sformułował dyspozycje większości przestępstw w sposób, który pozwala niemal każdy czyn uznać za wrogi interesom proletariatu i „sprawcę" pociągnąć do odpowiedzialności karnej. W tym celu sowiecki ustawodawca dosłownie zamazuje podmiotowe i przedmiotowe cechy stanów faktycznych poszczególnych przestępstw. Pod sformułowane przez niego dyspozycje podciągnąć można niemal każdy czyn sprawcy — zwłaszcza, że — jak już poprzednio zaznaczyłem — nie chroni sprawcy żadna forma zasady subiektywizmu, ani też nawet najbardziej zacofane formy zasady objektywizmu.

Przepis art. 58 k. k. sow. określa przestępstwo kontrrewolucji jako „czyn skierowany do obalenia, podważenia lub osłabienia władzy rad robotniczo-włościańskich", sabotaż zaś kontrrewolucyjny jako „świadome niewykonanie — przez kogokolwiek określonych obowiązków lub umyślne niedbałe ich wykonanie w szczególnym celu osłabienia władzy rządu i działalności aparatu państwowego".

Pod tak ujęty stan faktyczny, tak bardzo ważnych i ciężkich przestępstw w pojęciu k. k. sow. — można zatem podciągnąć „każdy czyn", gdyż każdy z nich w następstwie powiązania go ze skutkiem, który może nastąpić i nieokreślenia granic tej „możliwości" przy jednoczesnym zupełnym nieliczeniu się z psychicznym nastawieniem sprawcy a jedynie z „możliwością" narażenia władzy proletariatu — będzie przestępstwem.

Jeżeli ponadto do powyższego dodamy, że k. k. sow. nie zna przestępstw skargowo prywatnych, oraz, że nie zna on również nowożytnych form śledztwa i, że przeprowadza on w całej rozciągłości zasadę represji światowej — bez przesady można stwierdzić, że każdy, kto znajdzie się na terytorium sowieckim, może być przestępcą i wyrok, skazujący go mając uzasadnienie w sowieckim prawie karnym, będzie „słuszny".

Nie można zgodzić się ze stanowiskiem autora jakoby k. k. sow. przeprowadzał nawet w najszerszej interpretacji teorię Ferriego. Ferri każe stosować środki zabezpieczające i wychowawcze, lecz pierwsze jedynie w stosunku do sprawców, wykazujących anormalność w ich konstrukcji psychicznej, drugie zaś w stosunku do tych, którzy rokują poprawę, przy czym w jednym i drugim wypadku, w myśl teorii Ferriego, środki te muszą być nacechowane poczuciem humanitaryzmu. Jedynym podobieństwem pomiędzy sowieckim systemem karnym a teorią Ferriego jest to, że tu i tam mowa o środkach penitencjarnych. Inaczej jednak rozumie je Ferri, inaczej zaś rozumie je sowiecka sprawiedliwość i inaczej je realizuje. Sowiecki system kar nie ma nic wspólnego z humanitaryzmem. Każdy środek zabezpieczający i wychowawczy jest karą — inne są jedynie szyldy.

Cechą nowożytnych k. k. jest umieiętne zestawienie środków karnych, dostosowanych do najbardziej nowożytnych tendencji humanitaryzmu, a zarazem umiejętne operowanie karą, jako środkiem reakcji społecznej w stosunku do przestępcy, z zachowaniem lub usuwaniem skutków ukarania w miarę potrzeby, z ułatwianiem jednostkom, na to zasługującym powrotu do życia normalnego, przy pełnej surowości wobec jednostek, które same się wysuwają po za nawias życia społecznego.

K. k. sow. nie zna powyższych zasad i znać nie może, w przeciwnym bowiem razie przestałby być narzędziem terroru i brutalnym systemem stronniczego wychowania — jak to słusznie autor stwierdził, omawiając „zasady sowieckich środków obrony" — środków, mających za zadanie „dostosowanie sprawców czynów przestępnych do współżycia w państwie pracujących".

■

W 3 części rozdziału II. omówił autor między innymi odpowiedzialność zbiorową według k. k. sow., oraz nieuznawanie zasady analogii w sowieckiej sprawiedliwości. Fakt, że autor właśnie te zasady szczególnie omówił i poświęcił im osobne miejsce, świadczy o bardzo wnikliwym podejściu autora do tematu, jak również o tym, że — zdaniem autora — najzupełniej słusznym — te właśnie zasady najlepiej charakteryzują bez reszty sowiecką sprawiedliwość. To, co świat już bardzo dawno odrzucił, jako najbardziej niehumanitarne, przeciw czemu tyle lat walczono, a w końcu zasady takiej „sprawiedliwości" obalono — k. k. sow. je wprowadza i konsekwentnie rozwija.

Zasada lex retro non agit — nieuznawana przez k. k. sow., stanowi na zachodzie magna charta obywatela w dziedzinie konfliktów obywatela z interesami społeczeństwa: nie można karać za czyn najbardziej nawet społecznie szkodliwy, jeżeli społeczeństwo przed jego spełnieniem nie nadało mu znamion czynu karygodnego.

K. k. sow., pozwalając stosować ustawę do przestępstw popełnionych przed wejściem jej w życie — dał dowód, że jest kodeksem, nadającym się do najbardziej elastycznego stosowania.

Nowożytne prawo karne nie zna odpowiedzialności zbiorowej, a polski k. k. odrzuca nawet pozostałości winy akcesoryjnej. Zasada subiektywizmu jest konsekwentnie przeprowadzana w prawodawstwie zachodnim jako gwarancje praworządności i wolności obywatela. K. k. sow. również i w tym kierunku różni się od prawa zachodniego. Wobec nieobowiązywania zasad tych w prawie sowieckim, życie każdego człowieka w Rosji i jego wolność są jedyną fikcją, zwłaszcza, że, jak wyżej starałem się wykazać, nie ma w prawie karnym dosłownie czynu, któryby nie mógł być podciągnięty pod któryś z przepisów, określających stan faktyczny przestępstwa.

To samo oznacza możność stosowania w prawie karnym sowieckim analogii i do tego samego zmierza celu. Celem tym jest możność skwalifikowania każdego czynu jako przestępstwa, jeżeli tylko wymagać będzie tego interes proletariatu.

Nowożytne prawo karne nie pozwala na stosowanie analogii, analogia bowiem rozszerza do niebywałych granic prawo karania, przysługujące państwu, a w ocenie tego co wolno, a czego nie wolno, wprowadza najzupełniejszą dezorientację. Obywatel nigdy nie wie, czy postępuje zgodnie z prawem i czy, popełniając jakiś czyn, nie łamie normy prawnej.

Słusznie zwrócił autor uwagę na tę część k. k. sow., który dotyczy nieletnich. Niestety autor tej części k. k. sow. zbyt mało poświęcił miejsca. Temat ten należało ująć szerzej przede wszystkim dlatego, że na zachodzie jest on stale i żmudnie opracowywany. Zachód bowiem czyni wszystko, by w stosunku do nieletnich znaleźć tego rodzaju wymiar sprawiedliwości, któryby nieletniego naprawił — wrócił społeczeństwu. K. k. sow. natomiast niewiele o to się troszcząc — co autor zaznaczył — nawet w samej ustawie nie wprowadza różnicy między dorosłymi a nieletnimi, a nawet w szeregu przestępstwach stawia ich z dorosłymi na równi, i to zarówno w zakresie odpowiedzialności indywidualnej, jak — co gorsze i co należycie charakteryzuje k. k. sow. — w zakresie odpowiedzialności zbiorowej. Dziecko, objęte sprawiedliwością sowiecką odpowiada nie tylko za własne działanie, lecz karane jest też za winy dorosłego.

Kończąc, pragnę podkreślić, że praca pt. „Sowiecka Sprawiedliwość" jest bardzo poważnym przyczynkiem dla studiów nad prawem karnym, jest dobrym zestawieniem zasadniczych norm prawa sowieckiego i równie dobrym przeciwstawieniem go prawu zachodniemu. Dla prawnika jest świetnym przewodnikiem dla zorientowania się w zasadach sow. prawa karnego. Dla nieprawnika jest nieco pobieżna, a w wielu wypadkach za bardzo fachowa. W każdym razie jest ona pierwszym dziełem, poruszającym tak ciekawy i ogółowi nieznany temat.

Dr Adam Nowotny

*) Sylwester Mora i Piotr Zwierniak. „Sprawiedliwość sowiecka". Rzym 1945.

Nowe książki

Nasze granice w Monte Cassino — Antologia walki — oprac. Jan Bielatowicz — Rzym 1945 — cena za egz. 65 lirów.

Gody Życia — Adolf Dygasiński — cena za egz. 50 lirów.

Podręcznik do nauki języka angielskiego — w 30 lekcjach — Mgr Dominik Maciejko — Rzym, 1945 — cena za egz. 60 lirów.

Pan Tadeusz — Adam Mickiewicz — Rzym, 1945 — cena za egz. 70 lirów.

Śląsk Opolski — M. K. Dziewanowski — cena za egz. 15 lirów.

Rozmyślania Polaka o sprawie powrotu do Kraju. — Ryszard Wraga — cena za egz. 10 lirów.

Smuga cienia — Joseph Conrad — cena za egz. 70 lirów.

Odpowiedzi Redakcji

Pane. M. P. — CMF 422. — Jest niewątpliwie coś, co każe zwrócić uwagę na wiersze Pana. Może jeden z nich w jakiś sposób wykorzystamy. Prosimy o więcej próbek.

Włodarczyk Jan C.M.F. 474. — Ogłoszenia o poszukiwaniu rodzin musimy skracać, względnie przy poszukiwaniu przez tą samą osobę łączyć w jedno ze względu na brak miejca.

Hirschberg Salek — Adres swój proszę podać wyraźnie.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

W bestiarium

Do Dachau jadę z nieladą ekspertami. Kierowca Józef przeszedł Rosję, ochotniczka Zosia cztery i pół lata Ravensbruecka, do którego wtrącono ją jako osiemnastoletnią dziewczynę.

Józef na krematorium się nie zna. Ale Zosi przed krematorium kazano sadzić niezapominajki; (było to ostatnie stadium jego wykończania); w bunkrze obok siedziało pięć jej jednolatek, skazanych na śmierć, czekających na zasadzenie ostatniego kwiatka.

Kiedy ukończyła robotę, przesłały jej rękami pozdrowienie. Potem zaraz komin zaczął dymić. Dym był tłusty i ciężki. Osiadał na całym obozie odtąd bez przerwy.

Józef jest z Radomia jak i Zosia. Bez końca ugwarzają o zabawnych radomskich sprawach, pachnących macierzanką, wkradającą się między kocie łby ulic. Józef bierze z uwagą w ręce rękojeści żelaznych nosz i sunie je po rolkach do pieca. Nieporadnie te robią zdumione ręce radomskie.

W sąsiednim pokoju ćwiczone, wieszano na słupkach. Ręce Polaków — więźni, którzy swe nazwiska uwiecznili na tabliczce, wyrzeźbiły manckiny naturalnej wielkości.

Jeden — jest przytroczony do drewnianej kobyły, nogi ma zaciśnięte w drewnianych klubach. manekin gestapowca go bije.

Inny — wisi na słupku na wykręconych rękach. Jeszcze inny — to więzień, który uciekał; ma twarz zmasakrowaną uderzeniami; na szyji narzucona tablica: „jestem tu znów!". Przeprowadzą go do bunkra śmierci przed orkiestrą, grającą skoczne melodie, wzdłuż szpalcru zdrętwiałych ludzi, którzy stali na dworze dobę, dwie, czekając, aż zbieg zostanie pojmany. Gdyby to się nie stało, blok jego byłby zdziesiątkowany.

Może więc skoczne melodie istotnie odpowiadają skamlącym nadziejom tych resztek ludzkich?

■

Dzień jest zwilgły, pełen gęstej mgły. Idziemy wzdłuż drutów — za nimi obóz właściwy. Z tamtej strony drutu dwumetrowy cembrowany rów o prostopadłych ścianach; potem kilka metrów przemyślnie rozpinanych drutów kolczastych; dalej ogrodzenie właściwe pięciometrowej wysokości, po którym przebiega prąd elektryczny; z tej strony płotu pięciometrowej szerokości głęboki kanał — strumień; nad tym wszystkim wieże strażnicze.

Za ogrodzeniem poruszają się sylwety ludzkie; tę część obozu zajmują jeńcy SS. Mgła nie pozwala ich rozeznać; krematorium wywaliło nam jakąś prawdę tak brutalną, że aż zbytą grozy: cały ten obóz przerabiał mięso ludzkie i w potworności tego masowego procesu ginął naszej wrażliwości człowiek i jego cierpienia przygniatał. jak transcedentalny koszmar czegoś tak niepojętego Józefowym rękom, że aż zjawiskowego.

Ci es-esowcy, błąkający się w mgle, jak cienie po polach elizejskich, to stwory z tamtego świata.

I wobec tego szturmuję pułkownika amerykańskiego, komendanta obozu, o pozwolenie wejścia za druty.

Pozwoleń nikomu się nie daje.

Ale mamy ze sobą Zosię — „haeftlinga" z Ravensbruecka. Tu jest punkt zbiorowy przestępców wojennych. Może więc Zosia kogo rozezna.

Wobec tego wkraczamy.

Przestępcy wojenni. w liczbie dwustu kilkudziesięciu, siedzą w luksusowym pawilonie, przeznaczonym za nazistowskich czasów dla więźniów „prominent". Tu siedział m. in. Schuschnigg.

— Pani chce zobaczyć „aufseherinnen" (dozorczynie)?

Zosia jest cała w sobie zebrana. Gdyby to był film — „Poland" na jej ramieniu przebijałby pasiakiem „haeftlinga".

Trzask!... odwala się drewniana klapa w drzwiach, przez którą daje się pożywienie.

Schludny pokoik. Trzy młode piękne dziewczyny. Jedna w szortach leży na łóżku, świecąc pięknie toczonymi nogami. Ta najbliżej — pochylona nad stolikiem szyje. Czoło, którego nic zasłaniają gładko przyczesane ciemne włosy, jaśnieje czystością Rafaelowskich madonn. Ciepły rumieniec oblewa delikatną cerę.

Klapa się zatrzaskuje.

— Poznaje Pani którą?

— Panowie — pytam — czy tak może wyglądać zbrodniarka?

— Ta dziewczyna, nad którą się pan lituje, ma teraz dopiero dwadzieścia jeden lat. Przychodziła na apel z wielkim wilczurem. Więźniarki stały na baczność aż do wyczerpania. Pańska „madonna" wybierała te, które się ruszyły i kazała im klęczeć z rękami wzniesionymi w niebo; szczuła tę, która pierwsza opuściła ręce.

Przy następnej celi Zosia odrywa się od okienka i chwyta mnie za rękę:

— Tę znam...

Widzę twarz otoczoną utlenionymi lokami. Na zniszczone, pozbawione kosmetyków rysy starzejącej się kobiety, która mogła być piękną, wypełzło piętno zbrodni, perwersji i siedmiu grzechów głównych. Twarz ta zieje czeluściami podłej duszy, jak zbombardowany dom monachijski ubikacjami. Z przerażeniem myślę, że fasadę umakiliowaną tej kobiety mógłbym spotkać w kawiarni i nic nie wiedzieć.

— Chodziła z takim dużym czarnym psem — mówi Zosia i usta jej drgają jakoś dziecinnie — i biła...

— A może Pani ma jakie nazwiska, których poszukuje?

— Maria Mandel — mówi Zosia.

Znam to nazwisko z jej opowiadań. Zna to nazwisko („oberaufsehcrin" Ravensbruecka. a potem Oświęcimia każdą więźniarka tych obozów.

Maria Mandel — najwyższą władzą katów kobiecych, — to najwyżej 30-letnia kobieta, piękna, nieco przyciężką germańską pięknością. Pojawiała się na apele nieskazitelnie ubrana, wyondulowana.

— Die „O" kommt! — uprzedzały się trwożnie nadzorczynie.

Cisza bladą panowała w długich szeregach dziewięciu tysięcy kobiet.

Maria Mandel wolno jechała na rowerze wzdłuż szeregów. Ręce, obciągnięte w nowiutkie rękawiczki jaskrawej żółtości, leżały na kierownicy.

— Wiesz — szepcze Zosia — Wanda zawsze cicho się modliła przy apelu. Mandel zobaczyła poruszające się usta — „du bloede Kuh" — jaskrawa rękawiczka mignęła sierpowym — wybiła Wandzie ząb. przecięła usta; Wanda stała wyprostowana i strumyk krwi ciekł jej po brodzie. Wanda była o klasę wyżej, wydawałyśmy pisemko... Wyszła za mąż na cztery tygodnie przed aresztowaniem... Mąż jej przeciął żyły w Gestapo...

— Maria Mandel — sprawdził dozorca — o, w tej celi.

— Wiesz — szepcze Zosia — ja jej się zamelduję, jak należało się meldować:

— „Frau Oberaufscherin, Schutzhaeftling Nummer zehnzwei-achtzehn (m. p. numer Zosi był 10218) meldet sich zur Stelle".

Klapa odpada. Maria Mandel leży.

— Od kilku dni jest lekko niedysponowana — mówi strażnik.

I projekt Zosinej zemsty odpada.

— Bo przecie chora...

— Pani ma serce z kartofla — mówi Józef — u nas pracowałaby na lesopowale, że aż ha!...

— „U nas" — mówi Zosia — trzeba też było mieć 38,5, żeby móc leżeć.

Na tymże korytarzu mamy mężczyzn — przestępców wojennych. Tu — kiedy otwiera się klapa, wsadza twarz dyżurny i melduje.

Twarz zarośnięta, z psiemi oczami, patrzącymi z dołu w górę.

— Niech się wysunie Hans.

Hans, to czternastoletni, śliczny, wyrośnięty, pysznie odchowany chłopak, o wijących się lokach amorka nad porcelanową twarzyczką. Syn komendanta obozu. Otrzymał od ojca na urodziny czterdziestu więźniów, których zastrzelił.

— Zawołać N. — mówi dozorca przy innej celi.

W okienku ukazuje się nowa twarz.

— Ma na sumieniu z pięć tysięcy ludzi — mówi dozorca.

N., Obersturmbahnfuehrer — (stopień podobno równy stopniowi pułkownika) zgięty do okienka, starannie ukazuje chudą, drapieżną twarz, zaciśnięte wąskie usta i oczy w czerwonych obwodach, w których czai się przerażenie.

— Jeszcze takiemu dwu adwokatów dodadzą — mówi Józef.

— A tymczasem go podkarmiamy — mówi z goryczą korytarzowy Polak, ekswięzień i prowadzi nas do śpiżarni: zbrodniarze wojenni otrzymują dziennie ćwierć dużego bochenka chleba, margarynę, jam, ser i gorący obiad i kolację.

— U nas na 280 osób sypali do kotła pięć kilo kaszy i półtora kila mięsa — zastanawia się Józef — a przecie jakaż była nasza wina?

Strażnik pokazuje nam wąską szafę, wmurowaną w ścianę, upychano w niej po czterech ludzi, którzy musieli nieruchomo stać dobę i więcej.

— Tylko Sowieci i Niemcy potrafią urządzać obozy — mówi Józef.

A kiedy idziemy do koszar jeńców es-esowskich, widzi z goryczą, że każdy ma wygodną pryczę.

— A przecie my tak spali, że jak jeden się obracał, to musieli obracać się wszyscy. A przecie co my zrobili? Tyle, że broniliśmy swego... A ci? Więc jak?... — domaga się wyjaśnienia.

Zawsze widziało się skrzętnie dobrane ilustracje, na których armię niemiecką, a zwłaszcza tych tu es-esowców, reprezentują piękne męskie typy.

Kiedy teraz te nędzne niegolone brudasy prężą się przed nami, możnaby ich sfotografować przy podciągniętych chłopcach naszych pułków kawaleryjskich i postawić przy słowie „Herrenvolk" znak zapytania.

■

Wracamy z Dachau ulicami tak zbombardowanego, że niemal nieistniejącego całymi dużymi połaciami Monachium... Szofer do kosza na śmieci wyrzuca tekturowe pudło po konserwach. Paniusia w kapeluszu, rękawiczkach, z parasolką i torebką, podchodzi pytając, czy może pudło zabrać sobie. Ale przy skrzynce już je wydobywa inna. Obie zwracają się o rozsądzenie.

Ciągle trzeba pytać o drogę. Najlepiej podjeżdżać pod przystanki tramwajowe i świecąc orłami na beretach, rzucać pytanie w tłum oczekujących. „Uebermensche" informują na wyprzódki.

■

Zosia pojechała tramwajem. Jejmość obok poczęła jej opowiadać o cierpieniach jakiegoś jeńca, który wracał do domu.

— Widziałam takie rzeczy.

— A gdzie — przysuwa się zainteresowany tramwaj.

— U was — rąbie Zosia. — Przez cztery i pół lata obozu koncentracyjnego.

Milkną. Są jak zbite psy.

Wieczorem — za to bawią zwycięzców niemieckim humorem na „show" dla amerykańskich oficerów.

Najprzód wtłacza się orkiestra wrzaskliwie i b. „wesoło" powrzaskujących Szwabów, rozsiadających się w kamizelkach.

Potem tancerz i dwie tancerki demonstrują taniec namiętności i zazdrości, wyrażający się w tym, że rytmicznie w takt walcą biją się po mordach. Wreszcie prestidigitator demonstruje sztucznego ptaszka, naśladując jego śpiew. Potem ptaszka drze za skrzydła, naśladując jego pisk. Wreszcie zabija go młotem i głupkowato uśmiechając się, mówi:

— Alles kaput!...

Mam dosyć, wracam do hotelu. Jakaś Maria Mandel, która piastuje funkcję pokojówki, merda ogonem. Mijam ją szybko. Wydaje mi się, że zieje szlachtowanym mięsem ludzkim.

PUSTE HEŁMY

Rozbłocony gościniec, w bruzdach polnych topniejący śnieg, na ukos przy szosie w postawie jeszcze zaczepnej, z podniesioną armatnią lufą stoi „tygrys", zestrzelony „Koenigstiger". Jego miażdżące gąsienice, groza niejednego pola bitwy, zastygły w bezruchu, śnieg ubielił kadłub martwego potwora. Pancerne, ciężarowe i osobowe samochody zwalone z nasypów, strzaskane, na poły spalone i odarte ze wszystkiego, co się dało z nich zedrzeć, wytyczają szlak odwrotu. Srebrne płaty pościgowca, znaczone splugawionym krzyżem, ładują sowieccy żołnierze na swój „gruzowik".

Z białych i niebieskich chat podkrakowskich, zdobnych kaligraficzną cyrylicą, padają rosyjskie wezwania:

„Stalin prowadzi nas od zwycięstwa do zwycięstwa!".

„Na Berlin! Zgnieciemy bestię faszystowską w jej barłogu!".

„Zemsta Hitlerowi!".

„Nie oglądaj się za opóźnionymi!".

„Naprzód! Naprzód! Do boju!" — i innych wiele.

W przydrożnym rowie hełmy żołnierskie, pruskim orłem piętnowane. Mnóstwo hełmów. Każdy z nich chronił głowę któregoś z niemieckich żołnierzy, jasnowłosą, krótkostrzyżoną, o nordyckich, pociągłych rysach i zuchwałym spojrzeniu jasnych oczu.

Dziś leżą puste, przestrzelone, zerdzewiałe.

■

„Raczej się ziemia zapadnie, niżbyśmy mieli ten kraj opuścić..." — zaklinał się generał-gubernator Frank, stanąwszy twardą stopą na Zamku Wawelskim. A po pięciu latach, w obliczu bliskiej klęski, jeszcze ją zażegnywał pysznymi słowami: „Pazurami zaryjemy się w te bruzdy, za dużo nas krwi kosztowała Polska, byśmy ją mieli poniechać...".

Nowy Rok 1945 spotykano jeszcze hucznie w „staroniemieckim" krakowskim grodzie. Partia przyjmowała wojsko w salach swojej siedziby, wiwatowano na cześć fuehrera, armii i gubernatorów, na rychłe rozstrzygnięcie dziejowych zmagań i dębowe wieńce dla zwycięzców. „Radosne serca, piękne pieśni" — głosiły sprawozdania prasowe. W dwa tygodnie później nie było w Krakowie śladu po krzykaczach o „radosnych sercach".

■

„Przestrzeń życiowa dla Germanów...".

„Wyższej, doskonalszej rasie ludzkiej należy się panowanie nad światem, dla niej zdobyliśmy wschodnie obszary, dla narodu panów pracować będzie słowiański najemnik...".

„Założenie, że Ojczyzna stoi ponad prawem i bezprawiem, powinno być niewzruszoną zasadą naszego narodowego myślenia, kto sądzi inaczej, to jednostka o instynkcie życiowym okaleczonym...".

„Idzie o los Niemiec na całe pokolenia, fuehrer więc co robi, poświęcając krew najlepszych synów Germanii... Za cenę tej krwi — nowe dziedziny dla naszych nieurodzonych, dziedziny, gdzie staną ich kolebki, za tę krew bezcenną — żyzne łany, szumiące bory... Szale się ważą, padną jeszcze niezliczone ofiary, nim się los dopełni, ale wytrwamy, bo takie jest nasze przeznaczenie! Wytrwamy, bo nie ma już dla nas powrotu, bo mosty za nami spalone... Wytrwamy i zwyciężymy".

„Die Weltgeschichte ist das Weltgericht!...".

Tak powielekroć i na różne tony zwodził minister Goebbels swój naród, hodując w nim obmierzłą pychę, zaprawiając do żelaznego bohaterstwa, pogardy śmierci i nieludzkich zbrodni; tępił rozsądek, rozum, sumienie, a karna prasa hitlerowska powtarzała w ciągu długich lat hasła i argumenty goebbelsowej propagandy, gromadząc węgle gorejące na głowę narodu zbrodniczego.

„Zginiemy do ostatniego żołnierza i to będzie naszym zwycięstwem!" — krzyczał, kiedy już śmierć zaglądała mu w oczy, ale to było tylko jego ostatnim kłamstwem.

„Prawem jest to, co przynosi korzyść Rzeszy Niemieckiej" — śmiał również głosić prezes niemieckiej Akademii Prawa dr Hans Frank. Ale te zasady „zdrowego germańskiego instynktu życiowego" nie zdołały odwrócić sądu historii. Wspaniały generał-gubernator „nadwiślańskiego obszaru" (Weichselraum) musiał uchodzić w popłochu z krótkawskiego gniazda, płaszcz i czapka mundurowa oraz pas z bagnetem zostały w sieni zamkowej, a obiad, napoczęty w sali jadalnej. — Uszedł jedyną wolną drogą, która mu jeszcze pozostawała na Nowy Targ, Czarny Dunajec do Słowacji i dalej, żeby aż w Tyrolu dopiero wpaść w ręce sprawiedliwości.

Tych wszelako, którzy nie mieli stukonnych wozów, stojących pod gazem na wzgórzu wawelskim, którzy musieli się cofać w pieszym szyku z przepisowym obciążeniem, dosięgła śmierć już na polskiej ziemi.

Pożary oświetlały te styczniowe noce, płonęły białe chaty i czarne niemieckie auta, wybuchy zrywanych mostów wstrząsały powietrzem.

„Nie będziecie nas żałowali!" — rzucił któryś z odchodzących Niemców. „Za dziesięć lat wrócimy!" — oświadczył zuchwale inny.

Vernichtungs- i Sprengkomando uszły, nie dokonawszy nawet dzieła zniszczenia Krakowa, a szosą podkarpacką spłynęła niemiecka krew — i leżą puste hełmy.

Ileż to padło na drogach i polach polskich tych zuchwałych niemieckich głów, ile twardych germańskich czaszek wtłoczyły czołgi w kielecki czarnoziem, krakowską glinkę i mazowieckie piaski. Polski „lebensraum" krwią i gwałtem zdobyty, nie wykłosił im się w łan życiodajny, jak to obiecywał Goebbels, ich poszarpane zwłoki znalazły tu nieznaną i przez nikogo nieopłakaną mogiłę, pochłonęła je oporna przemocy ziemia polska i nie ona Niemcom, ale oni jej służyć będą swoim rozkładem.

Po rowach zostały rdzawe hełmy, po polach rozmiecione, białe kartki, fotografie, listy, rozkazy: słowa miłości, tęsknoty, hasła brutalne, zaklęcia partyjne.

Porośnie je ruń młodego żyta, oplotą korzenie maków i chabrów, aż wsiąkną w zagony i znikną, jak pamięć tych bojów. Zboża się wykłoszą, dojrzeją i życie potoczy się nad grobami swoim niezmiennym ładem czterech pór roku.

D. O.

Pisane w Kraju, marzec 1945 r.

ZAST.

Iran w roli Czechosłowacji

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Oświadczenie prez. Trumana, że nie przewiduje dalszych spotkań „wielkiej trójki", gdyż wszystkie zagadnienia międzynarodowe winny być rozpatrywane obecnie w łonie Organizacji Narodów Zjednoczonych, wywołało duże poruszenie w świecie, aczkolwiek było ono do przewidzenia dla śledzących uważnie rozwój wydarzeń. Nie tak dawno na łamach „Orła Białego" wskazywaliśmy, że w uchwale waszyngtońskiej trzech państw anglosaskich, powziętej w dniu 15 listopada w sprawie bomby atomowej, pominięto całkowicie instytucję „wielkiej trójki". Koalicja wojenna, którą „wielka trójka" reprezentowała, rozpadła się po zakończeniu działań wojennych przeciwko Niemcom i Japonii co zresztą również było do przewidzenia.

Nie oznacza to oczywiście, by mocarstwa anglosaskie zaniechały dalszych wysiłków w kierunku znalezienia porozumienia z Rosją w takiej czy innej sprawie, ale szukać go będą w innych już ramach. Składając oświadczenie na temat „wielkiej trójki" prez. Truman dawał wyraz przekonaniu, że „pogłoski jakoby Rosja nie chciała współpracować z resztą świata, nie posiadają podstaw konkretnych". Zapewniał również, że nie ulega „strachowi przed Rosją" i że wojny z Rosją nie należy przewidywać „w chwili obecnej". Co prawda, to ostatnie wynurzenie nie jest zbyt pocieszające, bo niewiadomo na jak długo rozciągnie się w czasie owa „chwila obecna". W każdym razie zagadnienie wojny z Rosją już jest poruszane w oficjalnych oświadczeniach najwyższych czynników politycznych, choć kilka miesięcy temu uważano za nietakt, jeżeli sprawy te omawiała prasa.

Stany Zjedn. a również W. Brytania przesuwają więc obecnie na Organizację Zjednoczonych Narodów ciężar odpowiedzialności za dalszy bieg wydarzeń międzynarodowych. Organizacja ta zbierze się po raz pierwszy w styczniu, na razie zaś w Londynie obradują komisje i podkomisje mające przygotować technikę jej pracy. Już na tych komisjach zaczęły powtarzać się znane rozdźwięki z poprzednich obrad. A więc Rosja sowiecka w otoczeniu swoich satelitów podjęła już kampanię antyanglosaską w sprawie organizacji mandatów kolonialnych. Państwa mniejsze popierane przez W. Brytanię występują przeciwko tajności protokółów obrad Rady Bezpieczeństwa owej Organizacji, prowadząc w ten sposób dalszą kampanię przeciwko metodzie uprzywilejowania niektórych państw.

Najistotniejszym jednak warunkiem zniesienia owego uprzywilejowania jest usunięcie ze statutu Organizacji Zjednoczonych Narodów prawa veta dla wielkich mocarstw. Zwracaliśmy na tym miejscu wielokrotnie uwagę, że przyznane wielkim mocarstwom prawo veta pozwalającego im wstrzymać wszelką akcję przeciw napastnikom — czyni z całej Organizacji fikcję. Stanowi ono nawet zachętę dla wielkich mocarstw do organizowania napaści.

P. Eden w Izbie Gmin wystąpił już z inicjatywą usunięcia tego fatalnego przepisu. Ten sam punkt widzenia rozwijał w Izbie Lordów lord Cranborne, były wiceminister spraw zagranicznych.

„Nie możemy wyjawić tajemnicy bomby atomowej, dopóki istnieje prawo veta, gdyż w ten sposób pomagalibyśmy potencjalnemu napastnikowi. Toteż Rada Bezpieczeństwa O. Z. N. powinna jak najszybciej obalić to zgubne prawo".

Należy wszakże pamiętać, że wprowadzenia prawa veta do statutu Organizacji Z. N. domagała się kategorycznie Rosja, nie zrażając się tym, że to jej stanowisko dość wymowne rzucało światło na jej plany polityczne. Wątpić też należy, by Rosja zmieniła zdanie.

Stoi ona w dalszym ciągu na gruncie przyznania specjalnych przywilejów wielkim mocarstwom, na gruncie podziału świata na strefy wpływów, przeciwna jest koncepcjom uniwersalnym nie przez nią kierowanym, opiera się wszystkiemu, co zmierzało by do zorganizowania „jednego świata". Wystąpienie sowieckiej „Prawdy" przeciwko propozycji brytyjskiego min. spraw zagranicznych Bevina w sprawie utworzenia światowego parlamentu, w którym reprezentowane byłyby wszystkie narody, świadczyło, że polityka sowiecka nie ulega zmianie.

Lord Cranborne przemawiając w Izbie Lordów wypowiedział się co prawda również przeciwko idei min. Bevina, uważając ją za mało realną, ale za to cały nacisk położył na konieczność przywrócenia jedności europejskiej.

„Głównym ośrodkiem obecnych niepokojów — mówił — jest rozbicie jedności europejskiej. Zagadnienie pokoju światowego jest w znacznym stopniu zagadnieniem europejskim, toteż głównym celem dążeń mężów stanu winien być powrót do jedności europejskiej w sensie intelektualnym i kulturalnym."

Lord Cranborne słusznie stwierdził, że nie osiągnie się tych celów jedynie środkami proceduralnymi. Zastąpienie „wielkiej trójki" Organizacją Zjednoczonych Narodów nie usunie rozbicia Europy, jeżeli nadal będzie obowiązywała polityka, która do rozbicia Europy doprowadziła, polityka Teheranu, Jałty, Poczdamu. Rewizja postanowień tam powziętych a już nieaktualnych, bo wojna jest skończona, stanowi podstawowy warunek uzdrowienia atmosfery w świecie i uratowania go przed nowym kataklizmem.

Sprawy jedności Niemiec

Prez. Truman wypowiedział się już otwarcie za rewizją jednej z deklaracji „wielkiej trójki" mianowicie deklaracji poczdamskiej w sprawie okupacji Niemiec. Rewizja ta miała by zmierzać do przywrócenia jedności gospodarczej Niemiec. W prasie ogłoszono obszerne sprawozdanie gen. Eisenhowera na temat położenia w Niemczech. Gen. Eisenhower zapatruje się na nie ponuro. Stwierdza, że życie w Niemczech jest zupełnie zdezorganizowane. Wydajność przemysłu spadła do 5 czy 7%. Napływ uchodźców ze wschodu i powrót jeńców wojennych daje podstawy do wzrastającego zamętu. Gen. Eisenhower nie widzi innej drogi wyjścia, jak utworzenie centralnej gospodarczej władzy niemieckiej i traktowanie Niemiec istotnie jako „gospodarczej jedności", zastrzegając się, że nie chodzi mu o utworzenie rządu niemieckiego.

W tym samym duchu wypowiedział się specjalny wysłannik do Niemiec prezydenta Trumana p. Byron Price, który raport swój skierował przede wszystkim przeciw Francji, oświadczając, że głównie jej opór w alianckiej komisji kontroli nad Niemcami uniemożliwia wprowadzenie centralnej „niemieckiej władzy gospodarczej" w Berlinie i traktowanie Niemiec jako całości. Raport Byrona Price, z którego wnioskami zgodził się gen. Eisenhower, wywołał burzę we Francji.

Polityka francuska w stosunku do Niemiec została wielokrotnie i jasno sformułowana. Francja nie wysuwa roszczeń terytorialnych w stosunku do swego wschodniego sąsiada. Domaga się wszakże, by Zagłębie Saary i Nadrenia zostały oderwane od Niemiec, by z tych terytoriów utworzono ewentualnie odrębne państwo pod wpływami Francji oraz, by przemysł i kopalnie zagłębia Ruhry oddane były pod zarząd międzynarodowy. Wysuwając te żądania, Francja powołuje się na poważne okrojenie Niemiec od wschodu, przyznanie (tymczasowe!) granicy Odry i Nisy Polsce i uważa, że podobne obcięcia należy poczynić na zachodzie Niemiec, by raz na zawsze zabezpieczyć Francję przed napaściami z tej strony. Dopóki to się nie stanie, Francja będzie sprzeciwiała się wszelkim próbom rozciągnięcia centralnej władzy niemieckiej na Nadrenię.

Stanowisko Francji w zakresie zabezpieczenia sobie granicy z Niemcami jest całkowicie zrozumiałe. Z drugiej strony wszakże zrozumiałe jest również dążenie mocarstw anglosaskich do przywrócenia jakiegoś ładu w Niemczech, dziś zniweczonego wskutek istnienia stref okupacyjnych, silnie od siebie odciętych. Amerykański generał Clay słusznie zaznaczał, że warunkiem uzdrowienia sytuacji w Niemczech jest przywrócenie „wolnego handlu między strefami okupacyjnymi". Dziś bowiem każda strefa prowadzi niemal własną politykę gospodarczą, przy czym strefa sowiecka kieruje się zasadami gospodarki rosyjskiej, tzn. całkowitego odcinania się od reszty Niemiec. Ujawniono m. in. rozmiary dezorganizującej polityki inflacyjnej, prowadzonej przez okupanta sowieckiego w Niemczech. Władze sowieckie wypuściły już 12 miliardów marek w banknotach, identycznych z obowiązującymi w innych strefach okupacyjnych, gdy tymczasem Stany Zjednoczone przewidywały wypuszczenie na wszystkie cztery strefy okupacyjne 15 miliardów marek, z czego tylko połowa jest w obiegu.

Jest to jeden z przykładów absurdalnej i tragicznej sytuacji, w jakiej znalazła się rozbita Europa. Każda więc akcja, zmierzająca do obniżenia barier, dzielących ją na strefy wpływów, musi być uznana za pożądaną niezależnie, gdzie się odbywa. Rozbicie granic ekonomicznych w Niemczech było by krokiem, zbliżającym nas — mimo wszystko — do jedności Europy.

Do tego samego celu zmierzać winna polityka ograniczania ilości wojsk okupacyjnych w Europie po stronie sowieckiej. Prasa brytyjska ujawniła np., że armia okupacyjna sowiecka w Austrii liczy 600.000 ludzi, na Węgrzech zaś milion ludzi. Przeciw komu utrzymuje się te koncentracje sił? Stany Zjedn. i W. Brytania mają obecnie zamiar wystąpić z wnioskiem ograniczenia wojsk okupacyjnych w Austrii. Może odpowiedzią na te postulaty są nagłe „rewelacje" sowieckie, że w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech znajdują się znaczne jednostki uzbrojonych wojsk niemieckich pod nadzorem angielskim. Memorandum sowieckie insynuuje np., że „niemiecka północna grupa armii" posiada wojska lądowe, lotnicze i plot., liczące razem 200.000 ludzi. Protest sowiecki twierdzi również, że w brytyjskiej strefie znajdują się jednostki wojskowe węgierskie i państw bałtyckich. Wysuwanie tego rodzaju insynuacji stanowi miarę odnoszenia się Rosji do swych partnerów.

Dalsza dezorganizacja w Europie Środkowej

Polityka inflacyjna na wielką skalę stosowana jest przez Rosję nie tylko w Niemczech, ale w całej Europie Środkowej. Zwycięstwo w wyborach węgierskich ugrupowań poza komunistycznych nie rozwiązało istotnych trudności tego kraju. Agencja „Reutera" donosiła, że chociaż nowy rząd węgierski panuje (?) politycznie nad sytuacją, stracił on kontrolę nad wydarzeniami gospodarczymi. Organ londyński „Observer" stwierdzał m. in., że przyczyną tego stanu rzeczy jest „galopująca inflacja" na Węgrzech. Pismo donosiło, że nowy parlament w Budapeszcie zebrał się w „atmosferze głębokiego pesymizmu" i że mowa nowego premiera „nie ujawniła całej powagi sytuacji". Ceny na Węgrzech doszły do cyfr astronomicznych. Oficjalnie za dolara płaci się 140 tysięcy pengo. Kraj potrzebuje pomocy w dziedzinie gospodarczej i zwraca się o nią oczywiście do Anglików i Amerykanów, gdyż Rosja pomocy tej udzielić nie może. Przykład węgierski jest dowodem, że wybory, nawet „pomyślnie" zakończone, nie usuną tragedii, która zaciążyła nad narodami środkowo-europ.

Nie można dlatego przywiązywać zbyt wielkiej wagi do akcji wyborczej w tych krajach. Nie mają też zasadniczego znaczenia wybory w Jugosławii, których wyniki były do przewidzenia. Tito skorzystał z wyborów, by przeprowadzić zmianę ustroju, ogłosić republikę i „zdetronizować" króla Piotra II, którego zasługi w okresie przystąpienia Jugosławii do wojny są ogólnie znane. Król Piotr w odezwie do narodu oznajmił, że nie uznaje uchwały „parlamentu" w Belgradzie i że nadal uważa się za króla. Oczywiście na razie jest to tylko protest słowny, ale trzeba wierzyć, że prawo zwycięży również w Jugosławii. Ustrój tam wprowadzony, jest wzorowany ściśle na sowieckim i to do tego stopnia, że sam Tito, wzorem Stalina, nie objął stanowiska głowy państwa. Zwierzchnia władza podobnie, jak w systemie narzuconym dziś na ziemiach polskich, została oddana w ręce „prezydium parlamentu", na którego czele postawiono p. Ribara, który pełni te same funkcje co w Polsce pan Bierut.

Podczas gdy na terenie Jugosławii wypadki przyjęły obrót tak niepożądany dla idei demokracji, w Bułgarii i Rumunii rozwijają się one inaczej. Specjalny wysłannik amerykańskiego sekretarza stanu Byrnesa, publicysta Ethridge, który miał zbadać na miejscu, czy należy poddać rewizji amerykańską politykę odmawiania uznania rządów bułgarskiego i rumuńskiego, wystąpił z wnioskami, które popierają dotychczasowe stanowisko rządu amerykańskiego. Uważa on nadal, że „rządy w Bukareszcie i w Sofii nie reprezentują istotnie narodów". A zatem nieporozumienie amerykańsko-rosyjskie co do sytuacji w Europie Środkowej trwa.

Dalsza akcja antybrytyjska w Warszawie

W tym samym czasie wzmaga się natężenie akcji antybrytyjskiej w Warszawie. Poświęcamy tej sprawie artykuł wstępny, tu zaś wskazujemy na nowy przykład, mianowicie na artykuł organu fałszywej P. P. S. w Warszawie „Robotnika", który pod adresem W. Brytanii wystąpił z następującymi pretensjami: 1. powrót polskich sił zbrojnych na obczyźnie do Polski; 2. uznanie granic Polski wzdłuż Odry i Nisy; 3. zwrot polskiego złota, które jest w Anglii. Pismo stwierdzało, że „rząd polski nie może dłużej tolerować" obecnej sytuacji i domaga się załatwienia wszystkich tych spraw.

Co ma oznaczać i do czego zmierza ta nagonka? Nie trudno odgadnąć, że chodzi tu o takie psychiczne nastawienie opinii polskiej, by w razie zaostrzenia się konfliktu między Wschodem i Zachodem, stanęła ona po stronie Rosji, celem „obrony przed Anglikami" granicy Odry i Nisy, która w rzeczywistości nie jest dziś granicą Polski, ale wpływów sowieckich.

„Zielony plan" w stosunku do Persji

W procesie norymberskim ujawniony został „zielony plan" sztabu Hitlera, dotyczący opanowania przez niego Czech. Warto zestawić te rewelacje z tym, co dziś dzieje się na terenie Iranu. Analogie są uderzające.

Sprawa Azerbejdżanu rozwija się więc niemal według wzorów sudeckich. Na rozliczne noty rządu perskiego, domagające się wpuszczenia wojsk perskich na terytorium Azerbejdżanu, rząd sowiecki odpowiedział kategoryczną odmową. W perskim Azerbejdżanie, okupowanym przez wojska sowieckie, a gdzie wstęp wojskom perskim został zakazany, odbyły się „wybory", w których wzięło udział jedyne stronnictwo „demokratyczne", a faktycznie komunistyczne. Odniosło ono oczywiście zwycięstwo i utworzyło „rząd". „Rząd" ma rozpocząć działalność od organizowania „lokalnej milicji" i od ogłoszenia faktycznej autonomii Azerbejdżanu.

Wysłannicy zaś amerykańskiej agencji prasowej „United Press", którzy udali się do stolicy perskiego Azerbejdżanu, Tabrizu, stwierdzili ze zdumieniem, że „demokraci", którzy objęli tam władzę, rozmawiają ze sobą tylko po... rosyjsku. Rząd sowiecki, udzielając odpowiedzi rządowi brytyjskiemu na jego notę, oznajmił jednak bez zająknięcia, że polityka rządu sowieckiego jest w dalszym ciągu zgodna z zasadą „poszanowania integralności terytorialnej suwerenności i niepodległości Persji". Polityka zakłamania trwa więc w dalszym ciągu. Integralność Iranu jest „szanowana", bo Azerbejdżan nie został formalnie włączony do Związku Sowieckiego, ale rozbiór Persji jest faktem dokonanym.

Również jej niepodległość jest na pozór szanowana, ale faktycznie kraj ten znajduje się na najlepszej drodze do dostania pod wyłączne wpływy Rosji. Na rząd perski wywierany jest zdecydowany terror, zmierzający do usunięcia z niego żywiołów niezależnych i wprowadzenia do jego grona emisariuszy komunistycznej partii perskiej Tudeh, otrzymującej oczywiście rozkazy z Moskwy. Rząd perski Hakima usunął już dla dogodzenia Moskwie burmistrza Teheranu, który uchodził za przeciwnika Rosji. Mówi się o tym, że rząd jest skłonny pójść na dalsze ustępstwa personalne, a nawet, że na jego czele stanie człowiek oddany Rosji, niejaki Sultaneh. Polityka obecnego premiera perskiego określona już jest jako polityka „udobruchania Rosji" (appeasement policy). Wszystko jak za czasów Monachium. Polityka ta wywołuje oburzenie w narodowych kołach perskich, oraz w kołach zbliżonych podobno do szacha. Korespondent „Reutera" donosił w każdym razie, że przedstawiciel ambasady sowieckiej „skarżył się rządowi perskiemu na zachowanie się szacha".

Wszystko to odbywa się wśród niebywałego naprężenia politycznego w Teheranie, gdzie, jak donosili korespondenci angielscy, zjawili się nawet — po wycofaniu garnizonu sowieckiego — znani dobrze z okresu poprzedzającego wojnę z Niemcami liczni tzw. „turyści". Nic więc nowego pod słońcem. Obok gróźb, terroru i żądań usunięcia tych lub innych ludzi, m. in. szefa sztabu armii perskiej generała Arfa, oskarżonego o sympatie probrytyjskie, podsuwane są rządowi teherańskiemu sugestie, że o ile rokować będzie bezpośrednio z Moskwą, uzyska różne koncesje. A tymczasem rozrasta się następny z kolei ruch separatystyczny w Persji, mianowicie w Kurdystanie i ogarnia miejscowości, leżące na granicy Iraku, w pobliżu nafty irackiej.

Rząd sowiecki kategorycznie odrzucił również propozycję amerykańską wycofania swoich wojsk z Persji przed 1 stycznia. Jak zaś wynika z oświadczenia min. Bevina, interwencja brytyjska w Moskwie nie odniosła żadnego skutku. Co uczynią dalej mocarstwa anglosaskie? Agencja amerykańska Associated Press stwierdzała, że powstanie rządu Sultaneh w Teheranie byłoby „ogromną klęską dyplomatyczną dla W. Brytanii i St. Zjednoczonych". „Yorkshire Post", organ Edena, zaznaczał, że „sytuacja, która się wytworzyła w Persji, jest kamieniem probierczym dobrej woli i dobrej wiary, jaka winna panować pomiędzy sprzymierzonymi".

W przeglądzie politycznym agencji „Reutera" zapytywano jednak, czy poparcie, udzielone przez Rosję ruchowi „autono-

(Dokończenie na str. 11.)

DOKUMENTY

Nota Ambasadora Rzeczypospolitej do Stolicy Apostolskiej w sprawie bezprawnego zerwania konkordatu

Ujawniona została treść noty złożonej przez ambasadora R. P. przy Watykanie, Dr. Kazimierza Papee, dnia 24 września 1945 roku w sprawie wypowiedzenia Konkordatu przez rząd warszawski. Notą wystosowaną została do Kardynała Sekretarza Stanu.

Nota brzmi:

„Ekscelencjo! Mam zaszczyt z polecenia mego Rządu podać do wiadomości Waszej Ekscelencji, co następuje:

Rząd Polski dowiaduje się, że tzw. „Tymczasowy Rząd Polski Jedności Narodowej" wypowiedział Konkordat, zawarty pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską 10 lutego 1925 roku, i pragnie zawiadomić, że stanowczo nie popiera tego kroku i potępia go.

Rząd Polski powołuje się na deklarację z 30 kwietnia 1945 roku, złożoną z okazji podpisania w Moskwie, 21 kwietnia, przez Komitet Lubelski paktu przyjaźni, obopólnej pomocy i współpracy po wojnie ze Związkiem Sowieckim, w której te deklaracji podkreślał, że z punktu widzenia prawa międzynarodowego wszelkie umowy, zawarte przez administrację lubelską są pozbawione jakichkolwiek podstaw legalnych, gdyż administracja ta nie stanowi rządu Rzeczypospolitej Polskiej i nie wyraża woli Narodu Polskiego. Rząd Polski powołuje się ponadto na swoją notę z dnia 16 czerwca 1945 roku, wystosowaną do rządów Narodów Sprzymierzonych, w której potwierdził on całkowitą nielegalność tworu zwanego „Tymczasowym Rządem Polskim Jedności Narodowej".

Opierając się na tych stwierdzeniach Rząd Polski oświadcza, że wypowiedzenie Konkordatu pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską, dokonane przez nielegalny organ, stanowi pogwałcenie suwerennych praw, zastrzeżonych najwyższym władzom Rzeczypospolitej Polskiej i akt ten musi być uznany za nieważny, niebyły i pozbawiony wszelkiej siły prawnej.

Krok tzw. „Tymczasowego Rządu Polskiego Jedności Narodowej" jedynie potwierdza opinię Rządu Polskiego, wyrażoną między innymi we wspomnianych wyżej deklaracjach i dokumentach, według których ten rzekomy rząd jest niczym innym, jak grupą uzurpatorów, narzuconą Polsce przez obcych i nie wyraża on w najmniejszym stopniu woli Narodu Polskiego, którego głębokie przywiązanie do Kościoła i religii katolickiej jest powszechnie znane i który sprzeciwia się temu postanowieniu administracji warszawskiej, ale nie jest w stanie wyrazić czynnie sprzeciwu wobec faktu, że Polska znajduje się pod władzą obcej armii okupacyjnej i obcej policji politycznej.

Proszę Waszą Ekscelencję, by zechciał przyjąć wyrazy najgłębszego poważania.

(—) K. PAPEE.

Decyzja listopadowa

30 listopada PAT podała streszczenie artykułu londyńskiego „Dziennika Polskiego" pt. „Decyzja Listopadowa", który omawia powołanie rok temu, 29 listopada, Rządu Tomasza Arciszewskiego.

Zmiana ta miała charakter przełomu w polityce polskiej. Nowy Rząd powstał w następstwie decyzji większości stronnictw polskich, do której zwracać się będzie Naród Polski, ilekroć przyjdzie mu określać swoje dążenia polityczne. Polska dokonała wyboru między wolnością a niewolniczym podporządkowaniem się obcej sile.

Tło wydarzeń było następujące:

W styczniu 1944 r. Mikołajczyk — imieniem Rządu Polskiego — zaproponował Rosji załatwienie sporu granicznego na wschodzie przez ustalenie linii demarkacyjnej, wykreślonej od Wilna do Lwowa. Rząd sowiecki zażądał „linii Curzona". W lipcu 1944 r. Mikołajczyk pojechał do Moskwy, gdzie wysunięto żądanie już nie tylko „linii Curzona" — ale i wglądu w wewnętrzne sprawy Polski. Mikołajczyk żądanie to przyjął i rozpoczął rozmowy z „Komitetem Wyzwolenia Narodowego". 29 sierpnia 1944 r. Mikołajczyk przesłał rządowi sowieckiemu memorandum z propozycją utworzenia rządu polskiego z udziałem komunistów i uzgodnienia przyszłych spraw wewnętrznych Polski. Rząd Polski nie otrzymał odpowiedzi na to memorandum.

W październiku 1944 r. Mikołajczyk udał się ponownie do Moskwy. W obradach brał udział Churchill i Stalin. Mikołajczyk zgodził się wtedy na dalsze ustępstwa, a przede wszystkim na „linię Curzona". W sprawie tworzenia rządu Mikołajczyk zaproponował wówczas komunistom z „Komitetu Wyzwolenia Narodowego" — 25% tek ministerialnych — natomiast Bierut zgłosił propozycję odwrotną — 75% tek dla „Komitetu Wyzwolenia Narodowego", a tylko 25% tek dla przedstawicieli Rządu Polskiego w Londynie. Churchill zaproponował kompromis: po połowie. Mimo te rozmowy nie dały wyniku, gdyż Stalin odrzucił propozycję, żądając uznania „linii Curzona", za granicę ostateczną, a nie tymczasową, sprawę zaś składu rządu pozostawiając pertraktacjom między Bierutem a Mikołajczykiem. Oznaczało to zupełne oddanie Polski w ręce sowieckie.

Wkrótce potem ambasador amerykański w Moskwie Harriman, zawiadomił Mikołajczyka w Londynie, że Prezydent Stanów Zjednoczonych gotów jest interweniować u rządu sowieckiego na rzecz Lwowa, jednocześnie jednak wyraził opinię, że interwencja ta nie odniesie skutku.

Ta oferta odsłoniła istotę rzeczy — mianowicie to, że zgodzono się oddać Rosji polskie ziemie południowo-wschodnie.

Mikołajczyk zdecydował się skorzystać z oferty amerykańskiej, ażeby pokryć swą zgodę moskiewską na „linię Curzona" i na sowiecką kontrolę nad rządem. Jednakże cała Rada Ministrów — z wyjątkiem Mikołajczyka i Kota — nie podzieliła tego stanowiska. W konsekwencji Mikołajczyk podał się do dymisji.

29 listopada 1944 r. premierostwo objął Tomasz Arciszewski. Nowy Rząd stwierdził, że pragnie porozumienia z Rosją na zasadzie wzajemnych ustępstw oraz uszanowania suwerenności Polski. Zaproponował on następnie podjęcie bezpośrednich rokowań i wyraził gotowość poddania się procedurze przewidzianej prawem międzynarodowym dla rozstrzygania sporów oraz domagał się pozostawienia rozstrzygnięcią Narodowi — w drodze wolnych wyborów pod nadzorem komisji międzysojuszniczej. Wszystkie te kroki skutku nie odniosły.

Negatywny cel Rządu Tomasza Arciszewskiego został osiągnięty, gdyż na żadnym akcie, stanowiącym o uszczupleniu ziem polskich i o podporządkowaniu Polski obcej woli, nie figuruje podpis legalnego Rządu Polskiego. Fakt, iż przejściowa kapitulacja nastąpiła wbrew woli legalnego Rządu Polskiego i większości Narodu Polskiego, stanowi podstawę naszych praw i punkt wyjścia dla dalszej walki o pełną niepodległość.

Stanowisko uchodźctwa polskiego w Afryce

Dwutygodnik „Nasz Przyjaciel", organ uchodźctwa polskiego w Afryce Wschodniej (Nairobi), ogłosił 15 września br. następujące „tezy ideowo-polityczne", określające stanowisko uchodźctwa w sytuacji obecnej:

1. Rozpoczęliśmy tę wojnę 1 września 1939 r. w obronie wolności, całości i niepodległości Polski. Cele te, pomimo zwycięstwa nad Niemcami, do którego Naród i Żołnierz Polski przyczynił się olbrzymim, krwawym wysiłkiem, — nie zostały dotychczas osiągnięte. Polska jest nadal w niewoli, niemniej groźnej i niszczącej, niż niewola niemiecka. Uchwały krymskie, będące próbą piątego rozbioru Polski, przeprowadzone bez wiedzy i zgody legalnego Rządu, potępione przez cały Naród Polski — w niczym nas nie obowiązują, tak jak wszystkie akty powzięte przez obcych bez wiedzy i zgody suwerennych Władz Rzeczypospolitej Polskiej. Nie dopuścimy się zdrady wobec własnego Państwa i Narodu, wobec przyszłych pokoleń i historii.

2. Zwycięstwo nad Niemcami musi być także zwycięstwem naszych celów na Zachodzie i Północy Polski. Na Wschodzie nic zmienić nie damy. Na Zachodzie i Północy muszą nastąpić zmiany. Żądamy powrotu do Polski całych Prus Wschodnich z Królewcem, Pomorza Zachodniego i Ziemi Śląskiej. Żądamy szerokiego i bezpiecznego oparcia o Bałtyk i Odrę. Jest to nie tylko warunek istnienia naprawdę niepodległej Polski, lecz również gwarancja niepodległości ludów Międzymorza, oraz istotnego pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Tych celów naszych bronić może uczciwie i skutecznie tylko suwerenny Rząd Polski.

3. Domagamy się wykonania zobowiązań sojuszniczych W. Brytanii w stosunku do nas, wynikających zarówno z sojuszu polsko-brytyjskiego z dnia 25 sierpnia 1939 r., jak dołączonego doń tajnego protokołu, który w art. 3 mówi wyraźnie: „W razie, gdyby jedna z układających się stron zaciągnęła wobec państwa trzeciego zobowiązania, wymienione w art. 6 układu, — będą one z konieczności sformułowane w taki sposób, aby ich wykonanie nigdy nie naruszyło ani suwerenności, ani terytorialnej nienaruszalności drugiej — układającej się strony. Art. 4 postanawia, że protokół tajny stanowi integralną część sojuszu polsko-brytyjskiego.

4. Niepodległość i całość Polski stanowią jedno. Polityka ratowania fikcyjnej niepodległości za cenę połowy ziem R.P. — jest polityką samobójczą. Nienaruszone terytorium R.P. jest ostoją i trzonem zachodnio-europejskiego ładu w Europie Wschodniej. Polska poprzez swoje ziemie wschodnie, graniczące z państwami Międzymorza, — ma nie tylko możność własnego rozwoju i bezpieczeństwa, lecz zapewnia ona również wolność i niepodległość ludów Międzymorza oraz stanowi skuteczną barierę przeciwko jakiejkolwiek agresji.

5. Wbrew twierdzeniu nielicznych kapitulantów — nasza polityka jest nawskroś realna. Kapitulanci mówią: „Jeżeli będziemy ratowali Polaków, to uratujemy Polskę". — Życie każdego Polaka jest bezcenne dla Polski i dla jego bliskich. Nie chcemy być jednakże tylko grupą etniczną, poddaną obcej woli, i od tej obcej woli zależną. Jeśli nie będzie istotnie suwerennego Państwa Polskiego, to na dalszą metę nie będzie również i Narodu Polskiego. Tylko niepodległa Polska może zapewnić Narodowi byt, rozwój i przyszłość.

6. Byliśmy i jesteśmy za porozumieniem z Rosją, lecz nie za cenę utraty naszej niepodległości. Nie jesteśmy podżegaczami wojennymi. Nikt, tak jak Polska, nie pragnie pokoju. Walczymy tylko o to, co jest nasze i co nam się słusznie należy.

7. Utworzenie tzw. „Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej" i okoliczności wśród jakich to w Moskwie nastąpiło, — jest pogwałceniem wszelkich praw Polski i jest jedynie dalszym etapem na drodze do całkowitej likwidacji naszej niepodległości. Jest to rząd dla nas obcy, wykonywujący rozkazy Moskwy. Odmawiamy mu prawa rządzenia Polską.

8. Nawoływania tzw. „Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej" i jego agentów w sprawie powrotu do Kraju przy rzekomych gwarancjach osobistego bezpieczeństwa i otrzymania pracy — są jedynie podstępem i pułapką. — Nie ma bezpieczeństwa, dopóki w Polsce jest sowiecka armia i N.K.W.D. Nie ma możności swobodnej pracy przy istniejącym stanie niewolnictwa w warunkach sowieckich. Tzw. „T.R.J.N." powinien przede wszystkim spowodować zwolnienie setek tysięcy Polaków, więzionych i deportowanych do Rosji.

9. W myśl złożonej przez nas przysięgi żołnierskiej na obowiązującą Konstytucję — jesteśmy i pozostaniemy wierni naszym suwerennym władzom: Panu Prezydentowi R.P., powołanemu przezeń na mocy prawa Rządowi R.P. i Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych, — przebywających chwilowo na obczyźnie. Pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach nie odstąpimy od praw suwerennych R.P.

10. Gdy Naród nasz w Kraju dziś mówić nie może — będziemy Jego sumieniem i Jego rzecznikiem w naszej bezkompromisowej walce o Polskę całą, wolną i niepodległą. W myśl apelu naszego Rządu z dnia 28 czerwca br. oddamy wszystkie nasze siły do przyspieszenia realizacji tego najdroższego celu oraz odrodzenia moralności publicznej, tak obecnie deptanej.

11. Ktokolwiek z Polaków działa niezgodnie z przepisami obowiązującej Konstytucji i wbrew decyzjom legalnych władz R.P. — działa na szkodę Polski. Jest obcym agentem.

12. Między światem kultury i cywilizacji — do którego należy i Polska, a Związkiem Sowieckim istnieją zasadnicze i głębokie przeciwieństwa moralne, polityczne, gospodarcze i społeczne. Konflikt między tymi dwoma światami jest nieunikniony. Nie wiemy, czy wybuchnie on o Polskę. Lecz sprawa Polski jest integralnym i zasadniczym problemem kontynentu europejskiego, tak jak była nią we wrześniu 1939 roku. Opanowanie na stałe środkowo-wschodniej Europy przez Rosję — jest między innymi bezpośrednim zagrożeniem W. Brytanii.

13. W obecnej walce żołnierz polski nie jest samotny. Stoi za nim cały Kraj, cała Polonia zagraniczna, z wyjątkiem garści zaprzańców. Stoi za nim wielka część opinii świata. Będziemy nadal zdobywali ją dla siebie, a zwłaszcza opinię anglosaską i ludów Międzymorza.

14. Nasze obowiązki żołnierskie i obywatelskie są jasno określone w orędziu Pana Prezydenta R.P., w apelu Rządu R.P. oraz w Rozkazie Naczelnego Wodza z dnia 29 czerwca br. Nie możemy zatracić łączności z naszą dziejową przeszłością. Nie możemy zaprzestać wysiłku dla zapewnienia Polsce Jej praw, oraz należnego Jej miejsca wśród narodów świata. Jako przedstawiciele Narodu Polskiego za granicą musimy utrzymać naszą godność przez zdyscyplinowanie, spokój i solidarność. Musimy tak przygotować się na obczyźnie, zarówno pod względem ideowo-moralnym, jak zawodowo i gospodarczo, — aby od niczyjej łaski nie zależeć i aby po powrocie do Polski być kadrą wykwalifikowanych pracowników.

15. Z pośród obowiązków obywatelskich za szczególnie ważny i pilny uważa żołnierz polski współdziałanie w roztaczaniu braterskiej opieki ideowej i materialnej nad Polakami, którzy wskutek wydarzeń wojennych znaleźli się poza granicami Kraju. Ta nasza pomoc i opieka dotyczy zarówno naszych kolegów, b. jeńców wojennych, jak również ludność cywilną.

WOJNA NA WYSPACH INDONEZYJSKICH

Mapka wyspy Jawy.

Iran w roli Czechosłowacji

(Dokończenie ze str. 10.)

micznemu" w Azerbejdżanie, oznacza „kres dążeń moskiewskich w Persji". Trwa więc w dalszym ciągu nadzieja, że zdoła się ustalić razem z Rosją jakieś granice dla jej imperializmu. Również pod tym względem sytuacja obecna przypomina żywo okres konferencji monachijskiej, która poprzedziła drugą wojnę światową.

Czy znajdziemy analogię również między ówczesnym położeniem Polski a dzisiejszą sytuacją Turcji? Przecież obsadzenie przez wojska sowieckie Azerbejdżanu przypomina zajęcie przez wojska niemieckie Słowacji. Turcja jest dziś strategicznie okrążona. Wzrasta tam poczucie niebezpieczeństwa. W Stambule doszło do masowych demonstracji mł dzieży przeciwko miejscowym pismom komunistycznym. Z krajów arabskich nadchodzą do Persji słowa otuchy i poparcia dla obrońców suwerenności państwa. Sytuacja w krajach Środkowego Wschodu staje się więc coraz groźniejsza, a przypisywane Moskwie pragnienie odbycia konferencji pięciu wielkich mocarstw na tematy tych obszarów wskazuje, że już niebawem rozgrywać się będą losy ziem, posiadających zasadnicze znaczenie dla W. Brytanii.

Układ anglo-amerykański

W momencie wzrastającego naprężenia w Persji, doszło ostatecznie do porozumienia anglo-amerykańskiego w sprawach finansowych i gospodarczych. Być może fakt ten nie jest przypadkowy. Tylko najściślejsze współdziałanie anglo-amerykańskie może uratować świat przed grożącymi mu niebezpieczeństwami. Polityka Kremla opierała zawsze swe nadzieje na rozbieżnościach między tzw. państwami kapitalistycznymi, i dziś w dalszym ciągu usiłuje wprowadzać rozróżnienia między Anglią i Ameryką. Prowadząc ofensywę na terenie Persji, ustępuje dziś pozornie na terenie Mandżurii. Sądzimy jednak, że w Londynie i w Waszyngtonie zdają sobie sprawę, że wszystkie te gry taktyczne są częścią jednego planu strategicznego.

Zast.

Sprawy polsko-brytyjskie

(Dokończenie ze str. 1)

sady władz warszawskich w Londynie „Kurier Polski", który atakuje rząd brytyjski zwłaszcza za jego pozytywny stosunek do polskich sił zbrojnych na obczyźnie. Pismo to wołało zatem:

„Pierwszym obowiązkiem W. Brytanii jest przynajmniej oddać skrawionej Polsce jej siły zbrojne... Dlaczego W. Brytania traktuje sprawy najżywotniejsze narodu polskiego z taką ślepotą...".

Prasa brytyjska niezbyt energicznie występowała dotychczas przeciw wszystkim tym napaściom i insynuacjom. Niektóre nawet czynniki londyńskie zachowywały się tak, jak gdyby z tego obrotu sprawy były zadowolone, jak gdyby prowokacje propagandy, kierowanej w Warszawie, pozwalały im uzasadniać konieczność dokonania zwrotu, jaki chciały by one może widzieć w pewnej chwili w polityce brytyjskiej w stosunku do Polski. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w Londynie, notując różne tego rodzaju wystąpienia prasy brytyjskiej, stwierdzał więc, że „rząd warszawski usilnie pracuje nad zaostrzeniem" stosunków polsko-brytyjskich i że „wydaje się to odpowiadać intencjom niektórych miarodajnych czynników angielskich. Po uznaniu rządu warszawskiego czynniki te nauczyły się z zadziwiającą zręcznością dostrzegać w postawie i w enuncjacjach administracji pana Bieruta wyraz opinii... narodu polskiego".

Gdyby tak było istotnie, Polaków spotykałaby krzywda. Jakie bowiem jest istotne położenie Polaków w Polsce o tym świadczył głos korespondenta amerykańskiego pisma „Christian Science Monitor" — Williamsa, który donosił z Warszawy:

„Wszelkie manifestacje sympatii w stosunku do Wielkiej Brytanii i wszelkie kontakty z demokracjami zachodnimi są surowo potępiane w sferach oficjalnych i przez partie polityczne, kierowane przez tymczasowy rząd warszawski".

Punktem szczytowym tej świadomej akcji czynników sprawujących władzę w Warszawie, były wystąpienia pana Rzymowskiego najpierw w Waszyngtonie i Londynie. W Waszyngtonie pan Rzymowski złożył oświadczenie, że reprezentowany przez niego „rząd" nie uznaje sojuszu Polski z W. Brytanią, natomiast w Londynie pan Rzymowski obwieścił publicznie, że W. Brytania domaga się od Polski spłacenia wszystkich kosztów wojennych, włączając w to „każdą bombę, rzuconą przez polskich lotników na Berlin oraz inne miasta niemieckie". Jednocześnie pan Rzymowski w sposób, który uważał widocznie za zjadliwy, oznajmił, że Stalin zupełnie inaczej traktuje Polskę niż Anglia, albowiem zrzekł się spłaty wszelkich długów wojennych, uważając, że Polacy swój udział w wojnie spłacili krwią. Słowem, pan Rzymowski — jak pisał „Dziennik Polski" — usiłował zaznaczyć kąśliwie, że „Stalinowi wystarczyła za pomoc dla wojska polskiego zapłata krwi, a Anglikom krwi jest mało i żądają jeszcze złota".

Tego jednak już Anglikom było za wiele. W niepraktykowanie ostrym komunikacie „Reutera" czynniki oficjalne brytyjskie publicznie oznajmiły w formie niezmiernie przykrej dla pana Rzymowskiego, że ten wysłannik władz warszawskich po prostu mijał się z prawdą. Kilka dni potem zaś brytyjski minister stanu Ned Baker ogłosił w odpowiedzi piśmiennej na interpelację w Izbie Gmin, że traktat sojuszniczy polsko-brytyjski „obowiązuje w dalszym ciągu", gdyż nie został dotychczas przez żadną ze stron wypowiedziany. Oczywiście nie jest wyłączone, że władze warszawskie wypowiedzą traktat sojuszniczy z W. Brytanią i że W. Brytania będzie musiała przyjąć to do wiadomości. Z oświadczenia wszakże p. Noela Bakera wynikało, że wypowiedzenie traktatu nie leży w intencjach rządu brytyjskiego.

Ostatnie depesze doniosły zaś o oświadczeniu ambasadora brytyjskiego w Warszawie, p. Cavendish Bentick, który oznajmił, że „zawiadomił rząd warszawski, iż z brytyjskiego punktu widzenia wolność prasy i słowa w Polsce nie istnieje. Ambasador powiedział szefom wydziałów warszawskiej propagandy zagranicznej, że, według jego opinii, rząd warszawski nie wypełnia zobowiązań jałtańskich i poczdamskich".

Nie sądzimy, by oświadczenie ambasadora wydane było bez powodu. Przemówienie min. Bevina, wygłoszone w dniu 24 ub. m. w Izbie Gmin, kazało również przypuszczać, że W. Brytania pragnie zachować przyjazne stosunki z Polską i że nadal interesuje się jej losem. Znaczenie polityczne tego wystąpienia uwydatniło się zwłaszcza w trzech punktach.

Po pierwsze, z toku rozumowania min. Bevina, że rząd brytyjski dopiero „oczekuję, iż naród polski odrodzi się jako naród wielki i niepodległy", wynikało a contrario, że Polska w chwili obecnej nie jest ani wielka, ani niepodległa. Było to zatem stwierdzenie niezmiernie doniosłe, świadczące, że również w przekonaniu rządu brytyjskiego zasadniczy i początkowy cel, dla którego rozpoczęła się II wojna światowa, nie został osiągnięty i że wszystkie konferencje wielkich trójek, które zajmowały się sprawami polskimi, nie dały Polsce niepodległości.

Po drugie, min. Bevin stwierdził, że wszystkie zagadnienia Europy wschodniej, która według niego stanowi „obszar państwa policyjnego", są niezwykle trudne do rozwiązania. Z tego wynikało, że Polska nie cieszy się wolnością oraz rządami demokratycznymi, ale po prostu poddana jest systemowi policyjnemu.

Wreszcie, po trzecie, minister nawoływał do cierpliwości i do powstrzymania się z ostateczną oceną stosunków w Polsce, do czasu, aż „roślina dostatecznie dojrzeje. Nie można jej co chwilę odkopywać dla upewnienia się, że ona naprawdę rośnie".

Nie wiemy w czym min. Bevin dopatruje się owej „rośliny" niepodległości w Polsce. Naszym zdaniem nie jest to roślina wątła. Okazała ona niemałą siłę w czasie tej wojny, a jeżeli dziś nie może w pełni kiełkować i rosnąć, to nie z własnej winy, ale dlatego, że została przytłoczona obcym kamieniem, rzuconym na nią uchwałami konferencji w Teheranie. Jałcie i Poczdamie. Trzeba tylko odwalić ten kamień, a roślina nie tylko wykiełkuje, ale żywiołowo zacznie się rozrastać.

Z wspomnianego już artykułu „Observera" z dnia 11 listopada wynikało, iż w pewnych kołach brytyjskich zapanowało przekonanie, iż zbyt natarczywe interwencje brytyjskie w Warszawie w sprawie przywrócenia wolności politycznej w Polsce „mogą być raczej przeszkodą, niż pomocą dla odrodzenia pełnej politycznej wolności w Polsce". „Observer" dowodził bowiem, że interwencje tego rodzaju wzbudzają nieufność rządu sowieckiego i zachęcają go do jeszcze ostrzejszych interwencji własnych. Te bardzo typowe dla obecnej sytuacji argumenty nie są zbyt przekonywujące.

Oczywiście sprawa niepodległości Polski stanowi zagadnienie samoistne, niezależne od takiego czy innego stanu rywalizacji między wielkimi mocarstwami. Nie chodzi też bynajmniej o wytworzenie w Polsce czegoś w rodzaju „stronnictwa angielskiego", które przeciwstawiało by się istniejącemu „stronnictwu sowieckiemu".

Byłoby również nieszczęściem, gdyby sprawa polska posłużyła raz jeszcze — jak może ktoś oczekuje — za przedmiot przetargów między mocarstwami. Zagadnienie wolności Polski jednak istnieje. Należy tylko ustalić kolejność rozwiązań i oddzielić ściśle to, co przy załatwianiu spraw polskich należy do Polaków od tego, co należy do mocarstw. Zagadnieniem najpilniejszym w sprawie polskiej nie są wybory, ale usunięcie wojsk sowieckich i policji sowieckiej z ich przybudówkami z ziem polskich. Oczyszczenie zaś Polski z wojsk i z sił policyjnych obcych, należy w obecnej sytuacji tylko do wielkich mocarstw, które swoimi uchwałami i postanowieniami, powziętymi w czasie wojny zgodziły się jawnie lub milcząco na bezprawną okupację Polski przez wojska sowieckie. Tylko mocarstwa anglosaskie mogą zatem domagać się usunięcia z Polski tego głazu, który przytłacza polską „roślinę" niepodległości. Uwolnienie Polski od wojsk obcych leży zresztą nie tylko w jej interesie, ale i wszystkich mocarstw, zmierzających do uspokojenia i znormalizowania stosunków w Europie. Polska jest przecież zasadniczym strategicznym i politycznym elementem równowagi w Europie — nie rozstrzygnie się w szczególności sprawy Niemiec bez właściwych decyzji w sprawie Polski — a rosyjskie garnizony i oddziały sowieckie w jej miastach, miasteczkach i wsiach stanowią jeden z elementów, przyczyniających się do naprężenia istniejącego po obu stronach linii demarkacyjnych, oddzielających strefy okupacyjne. Po usunięciu wojsk sowieckich z Polski resztę zrobią sami Polacy.

Arp.

Z HUMORU WŁOSKIEGO: SKOJARZENIE POJĘĆ

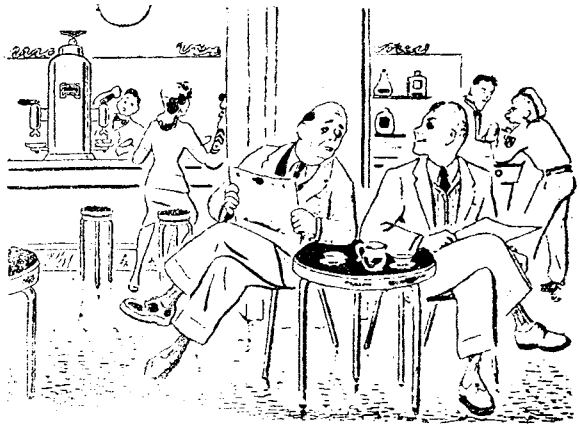

— Czy Stalin wycofał się z życia politycznego z powodu złego stanu zdrowia? Niezbyt więc powodzi się trzeciemu z Wielkiej Trójki.
— Jakto? Nie boisz się nazywać Mussoliniego i Hitlera wielkimi?

(„Cantachiaro")

PRZEGLĄD PRASY

Tajemnica „sfinksa" rosyjskiego, tajemnica zachodzących obecnie w Rosji przemian wewnętrznych nie przestaje zajmować świata i prasy. Wiedza o Rosji, którą Zachód tak powolutku ciuła, jest wciąż jeszcze niezmiernie mała i powierzchowna. Jeśli dzięki niej potrafi on już niekiedy wyławiać i uwydatniać dość istotne w Rosji zjawiska — utyka na nich nie umiejąc jeszcze wysnuć z nich wszystkich wniosków. Nas Polaków niezmiernie to niecierpliwi. Nasza znajomość Rosji pozwala nam lepiej może niż innym pamiętać że tak jak w hitleryzmie — tak i w bolszewizmie właściwie wszystko co do joty było napisane i powiedziane z góry — z niespotykaną w historii otwartością. Świat jednak dał się zwieść pewności, że w polityce wszystko czyta się na odwrót. Tak w książce „Mein Kampf" Hitlera ujrzano tylko pomysłowy sposób dojścia do władzy. Nauczony doświadczeniem wojny świat nie jest już dziś tak naiwny wobec bolszewizmu — pamięta o tym, co w nim było z góry powiedziane, lecz próbuje przejednać Rosję, odwieść ją od jej pierwotnych zamiarów. Na oko wydaje się, że nie ma w tym żadnego ryzyka: No, bo jeśli perswazja przekona Rosję — powstanie „wspaniały szczęśliwy świat". Jeśli zaś nie — no to trudno.

Tymczasem jest w tym ryzyko zwłoki, ryzyko zmarnowania obecnej przewagi mocarstw anglosaskich nad Rosją, ryzyko rozwinięcia przez Rosję nowej bezwojennej ekspansji, taktyki pozornych przewrotów ludowych, — a wreszcie niebezpieczeństwo samooszukania się, że to ostatnie niebezpieczeństwo nie jest urojone — oto przykład:

Powrót do Rosji

A. Pierre we Francji „Le Monde" z 2 listopada rozważa mowę wygłoszoną przez prezydenta Kalinina do sowieckich delegacji włościańskich na temat wielkiego wrażenia, jakie na armiach rosyjskich wywarła kultura i cywilizacja niemiecka w ich marszu na zachód. W mowie tej Kalinin wezwał swych słuchaczy, aby wyjaśnili młodym żołnierzom, jak dalece kultura niemiecka jest „powierzchowna, próżna i małomieszczańska" — aby im wytłumaczyli, że „tylko ludzie niedoświadczeni i bez wyrobionego sądu o rzeczach mogą dać się zwieść zamożnością gospodarstw i pięknie umeblowanych mieszkań niemieckich chłopów i kupców". Cytując mowę Kalinina, w której silił się on wydrzeć z pamięci swych „bojców" wrażenia odniesione na zachodzie, — A. Pierre próbuje zdać sobie sprawę rozmiaru tych wrażeń i ująć ich następstwa:

„Nie dziw — pisze on — że zetknięcie z Zachodem było wielkim wstrząsem dla żołnierzy armii czerwonej. Przekraczając po raz pierwszy granice ZSRR — wchodzili oni dosłownie w nieznane. Szli tam z wpojonymi w głowy ideami, zbrojni we wszystkie hasła tej propagandy, która wychowywała ich od dziecka. Mówiono im i powtarzano, że w ojczyźnie socjalizmu wszystko jest lepsze, zaś w obozie kapitalizmu trwa nędza i wyzysk człowieka przez człowieka. Bajano im po stokroć na temat „u nich — u nas" i w ten sposób rozwinięto w młodym pokoleniu ten kompleks wyższości, tę pychę, którą spotyka się zresztą także i w innych epokach historii Rosji. Zapomniano im powiedzieć lub ukazać na autentycznych filmach, że mimo wszelkich swych wad i niesprawiedliwości kapitalizm polepszył materialne warunki bytu ludzkiego, że rozpowszechnił wszędzie postęp i dostatek, wszędzie, więc także i wśród klasy pracującej.

„Nie dziw więc, że zbliżając się do Berlina i Wiednia, żołnierze rosyjscy spotykali niespodzianki za niespodziankami — jak odkrywcy na nowych ziemiach. Zobaczyli pięknie zabudowane wioski i wzorowo urządzone gospodarstwa, dostatnio i schludnie odzianych wieśniaków, miasta wyposożone we wszystkie ulepszenia urbanistyki, mężczyzn i kobiety, których stopa życiowa nawet w uboższych dzielnicach znacznie była wyższa od tego, co sobie wyobrażali. Zaczęli to porównywać z tym, co pozostawili za sobą w Rosji i rozterka zakradła się w ich dusze.

„Nie powiedziano im całej prawdy. Zbyt czarno malowano im życie w krajach kapitalistycznych. Zywym okiem oglądana rzeczywistość skłaniała ich do zrewidowania swych pojęć. Po powrocie do kraju prosta uczciwość kazała im opowiadać, co wiedzą, swym bliskim".

Powrót do kraju milionów żołnierzy sowieckich stawia — zdaniem Pierre — przed rządem sowieckim poważne i delikatne problemy. Podobne zdanie wyraził ostatnio także korespondent „Manchester Guardian" po swej bytności w Wiedniu:

„Rząd sowiecki będzie się musiał zmagać nie tylko z problemami odbudowy kraju spustoszonego przez wojnę — lecz także i z trudnościami natury psychologicznej, wznieconymi przez zwycięskie armie — zupełnie niezadowolone z tego, co zastają w kraju po swym powrocie".

Dość trafne na ogół rozważania swoje Pierre kończy nieoczekiwanym i naiwnym wnioskiem, że „podczas obecnej kampanii wyborczej poprawa bytu narodów ZSRR będzie bez wątpienia głównym punktem programu, który kandydaci do Rady Najwyższej będą musieli wystawić", ale zaraz autor dodaje:

„Będą musieli" — pobożne życzenie! Oczywista, że nie można niedoceniać siły uczuć, które wybuchły w armiach rosyjskich na widok nieprzebranych bogactw i skarbów Zachodu. — jednak nie wolno również mylić się co do rodzaju tych uczuć. Nie zapominajmy, że armie sowieckie nie oglądają tych bogactw przez szybę i że wraz z bogactwami nabierają pewności, że można je po prostu zdobywać na innych. Bernard Shaw odważył się kiedyś na twierdzenie, że zwycięski duch armii napoleońskich rodził się z nadziei rabunku. Jeśli prócz szczypty prawdy była w tym i złośliwość — to w stosunku do Rosji hasło „grabit nagrablennoje" nie jest z pewnością tylko wymysłem satyryka. Uczucia armii rosyjskich w języku cywilnym mogą oznaczać słabość — w języku wojskowym stanowią dalej siłę. Zwrotnicą od siły do słabości mogłaby być tylko powszechna demobilizacja w Rosji — ale cóż z tego, kiedy tej zwrotnicy nikt dotąd nie przetawił".

Wydawca Oddział Kultury i Prasy 2. Polskiego Korpusu Tłoczono w Ciętkiej Drukarni Polowej 2. P. K. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62